

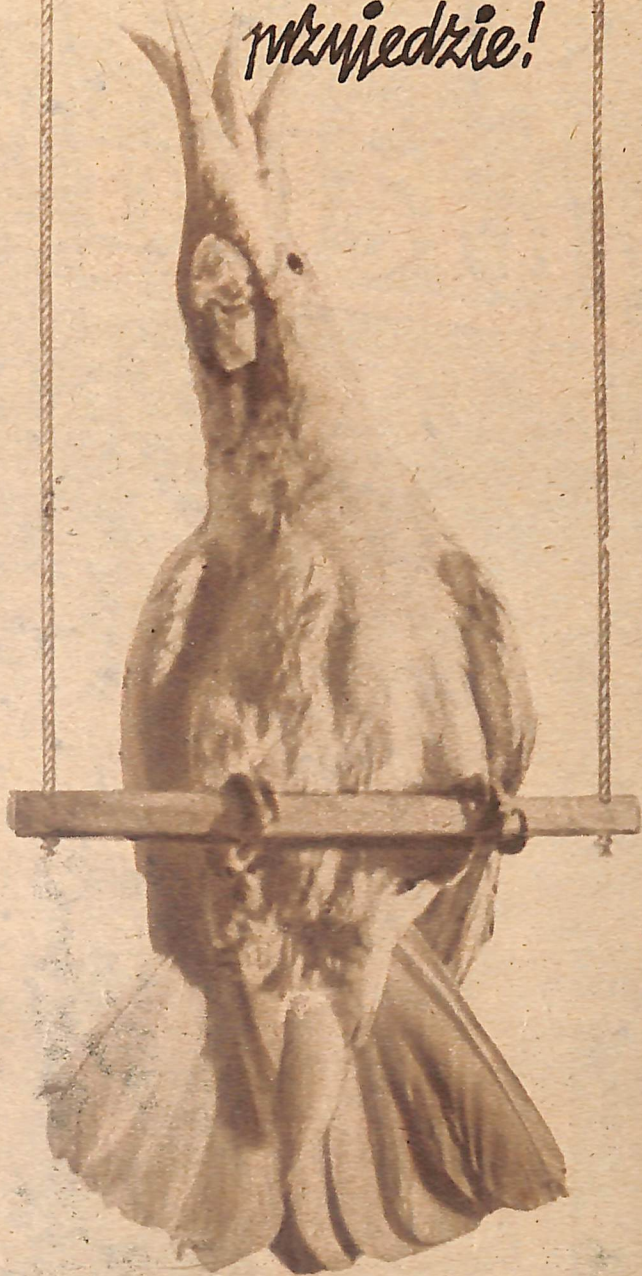
Nr 13(836) Cena 1 zł 29.III.1964 r.

Przyjaciółka

TYGODNIK



CYRK przyszedzie!



Jeszcze tydzień, jeszcze dwa i orkiestra zagra tusz, rozjarzą się światła areny, a my będziemy z podziwem oglądać jak brawurowo ćwiczą akrobaci, jak posłusznie toczą piłki obłaskawione drapieżniki, jak iluzjonista wyczarowuje komuś z kieszonki żywą żabę. Cyrk przyszedzie!

Teraz spokojnie stoją jeszcze cyrkowe wozy na miejscu zimowych spotkań wszystkich polskich cyrków w Julinku pod Warszawą. Ale ludzie nie próżnują: artyści ćwiczą popisowe numery, bezustannie trwa tresura zwierząt, a personel techniczny pospiesznie kończy konstrukcje pomysłowych rekwizytów służących do przedstawień.

Dwie robocze areny i ogromna hala gimnastyczna w Julinku zajęte są od rana do późnego wieczora. Każdy ma określone godziny prób, które nadzorują instruktorzy — znawcy sztuki cyrkowej, specjaliści woltżerki (popisów na koniach), tresury, żonglerki, gimnastyki wyczynowej.

I pomyśleć, że wciąż zgłaszają się do biur przedsiębiorstw rozrywkowych młodzi i starsi „ochotnicy”, którym wydaje się, że kariera w

cyрку to rzecz bardzo prosta. — Ciocia mówiła, że mam talent, bo wszystkich w rodzinie rozśmieszałam — powiadają. Gdyby wiedzieli to, co wie każdy artysta z Julinka! Laury w tym pięknym, ale i ryzykownym i trudnym zawodzie zdobywa się całymi latami prób.

Dwóch mężczyzn trzyma poziomo wąski drążek, na którym utrzymując równowagę — jak na linie — stoi młoda artystka. Jednocześnie wyrzucają drążek w górę i już szczupła postać artystki migga na wysokości kilku metrów nad ziemią. Tam w powietrzu robi „koźła”, aby z prawdziwie kocia zręcznością opaść nogami na drążek i zatrzymać się znowu w pozycji stojącej.

Ręce same składają się do oklasków. Ten numer Ali Okpisz trwa zaledwie dwie minuty — dziewczyna przygotowywała go cztery lata, a tu, w Julinku trenuje go dzień w dzień. — Przecież to niebezpieczne próby — mówimy.

— Jak mówi nasz instruktor Wacław Gedrojć, pełne opanowanie techniki ćwiczeń nie ma wyklucza niebezpieczeństwo — odpowia-



Cwiczenie zwane „deską”, to jakby strzał z katapulty. Żywy pocisk leci na odległość dziesięciu metrów i trafia na barki kolegów.



Z dalekich Chin przywędrowały do Julinka talerzyki wirujące na laseczkach i inne tajemnice żonglerki wysokiej klasy.



U góry: „Diabola” to jakby zabawa z dużą szpulką. Wydawała się prościutką, więc spróbowałismy. Wyznajemy ze wstydem, że szpulka od razu poleciała na podłogę...



U dołu: Tę gołąbnią huśtawkę przygotowała Regina Statkiewicz. Gołąbki i słaba pleć — wiadomo! Ale zapewniamy, że kobiety-treserzy umieją w Julinku poradzić sobie nawet z lwem!

— Coś ty tu namalował?
— Wyścigi samochodowe...
— A dlaczego na rysunku nie ma ani jednego samochodu?
— Bo już przejechali!

Zabawne rozmowy komików to nieodłączna część cyrkowego programu.



wiała panna Ala. — Pamiętam, że wypadek złamania obojczyka zdarzył mi się w pierwszych dniach pracy w cyрку i to akurat przy dziecinnie łatwym ewi-

czeniu: staniu na rękach. Nie tylko więc najbardziej efektowne numery, ale i najprostsze związane są z ryzykiem. Pamiętajmy o tym, gdy

zobaczymy cyrkowców na arenach — i nie szczędźmy im braw.

Z wiosną cyrkowe wozy z Julinka jak w piosence — „ruszą dalej

przez świat”. Artysty zapewniamy, że gdziekolwiek zatrzyma się cyrk, goście będą mile widziani także i na próbach. Warto skorzystać z takiej okazji, by bliżej poznać trudną pracę artystów cyrkowych.

J. T.

Zakochani

LU ludzi, tylu jest filozofów czasu młodości i czasu miłości. Znaczący miłosnej sprawy twierdzą, że tylko wiek dojrzały może być gwarancją stałości małżeńskiej. Inni mędrcy odrzucają wszystkie recepty na małżeńskie szczęście. Nie da się przewidzieć pomyślności, czy niepomyślności cudzego losu — powiadają.

Czasem życie płata jednak figle. Bo życie dwojga nie chce mieć wiele wspólnego z logiką matematyki.

Gdy się pobrali, razem mieli 36 lat. Pobrali się nie mając zawodu, ani pieniędzy, ani mieszkania. Ani jednego człowieka w otoczeniu, który by powiedział: „Słusznie robicie”.

„Sprzeciwiamy się temu ślubowi, proszę nie liczyć na żadną z naszej strony pomoc” — napisali rodzice chłopca do matki dziewczyny.

Na swoim ślubnym zdjęciu wyglądają jak para wystraszonych kurcząt, które ktoś zgonił z grzędy.

Już od pierwszych dni muszą mościć się w cudzej, zatłoczonej cudzymi sprzętami i cudzymi kłopotami izbie. Młoda pierze, gotuje, sprząta. A kiedy przychodzi własne macierzyństwo — to duże dziecko nosi już wszystkie ciężary dorosłości. Ale jest zdrowe, wesole, jak iskra żywe i zręczne. Przyzwyczajone do wszystkich kłopotów biedy.

Młody jest pracowity i zakochany. Po pracy co dzień biegnie do popołudniowej szkoły. Roztacza wokół siebie hałaśliwą radość, kpiarską aprobatę niedostatku i ciasnoty. Kłania się nisko pieluchom suszącym się na wszystkich meblach, barszczom i żurkom, którymi karmi go żona.

— Przewidywaliśmy! Oblał maturę! Przy takich obowiązkach, w takiej ciasnocie! — mówią znawcy życia — rodzice. I choć do żywego obrażeni, odwrócenie od syna, gotują liścik. Proponują powrót do rodzinnego domu, powrót samotny.

— Jeśli przekroczy kiedykolwiek wasz próg, to tylko z żoną — depeszuje młody.



Gorącymi łzami obleli młodzi zawiadomienie o powołaniu do wojska. Dotychczas nie rozstawali się ani na jedną dobę. Perspektywa rozstania — to boli najbardziej. Mniej — pytanie: z czego żyć będzie matka z dzieckiem?

Na uroczystości złożenia przysięgi zjawiała się z niemowlęciem na ręku. W mundurze mąż wydawał się jej zmieniony, postarzały, miał zapadnięte policzki i smutną twarz. Tęsknił.

Chwalił jedzenie, pokazał sypialnię, przedstawił kaprała, cieszył się żoną.

— Już nie odjedziesz — zapowiedział.

NIE odjechała. Za kilkaset złotych, które otrzymał jako wyrównanie z pracy, wynajął żonie pokój. Z menażki wojskowej ujmował jedzenia i nosił żonie. W wolne niedziele wychodził z koszar, ale czas ten nie na towarzyszenie żony przeznaczał. Dęby i sosny w lesie chętnie poddawały się jego mocnym dłoniom. Rosły sagi spiłowanych pni, rosły złotówki na koncie szeregowca.

— Żona szeregowca ma maleńkie dziecko, nie ma z czego żyć — napisano w prośbie o przedterminowe zwolnienie z wojska.

— Żona szeregowca ma zamożnych teściów. Powinna do nich zwrócić się o utrzymanie — odpowiedziano w urzędowym piśmie.

Szeregowiec pilnie wykonuje wszystkie wojskowe obowiązki. Zbiera zasługi. Znają szeregowca także okoliczne wioski. Tu żelazko naprawi, tam radio do życia przywróci. „Złote ręce ma chłopiec” — mówią gospodynie.

A złote ręce chłopca niosą do sublokatorskiego pokoiku żony kilka jajek, butelkę śmietany, woreczek jabłek, kilkadziesiąt złotych na komorne.

Synek miał 18 miesięcy, gdy niedostatecznie odziana, źle odżywiona matka zachorowała. Mąż znalazł ją w bólach i wysokiej gorączce. A potem stało się coś, o czym do dziś opowiadają sobie w jednostce wojskowej: w czasie choroby matki synek... odbywał służbę z ojcem. Sypiał na jego pryczy, jadł z jego menażki; gdy ojciec odbywał musztę, dziecko bawiło się pudełkami po papierosach, płało się po korytarzach, gdy ojciec słuchał wykładów.

— Małe dziecko w koszarach! — popłynęły mel-dunki.

— Usunąć dziecko z koszar! — popłynęły rozkazy.

— Dokąd? Matka chora — popłynęły zapytania.

Inspekcje, kontrole, pisemka. Szeregowiec otrzymuje przedterminowe zwolnienie ze służby.

KAPITAN pogratulował młodej. Mąż — obowiązkowy, pracowity, dumny — nikogo o pomoc nie prosił, nawet rodziców. Nikogo w koszarach nie zawiadomił o swoich dramatach rodzinnych. Mąż odbył nienaganną służbę. Kochający... — uśmiechnął się kapitan.

To, co powiedział żonie, powtórzył w kilku telefonicznych rozmowach, potem zapisał coś młodemu na kartce...

...Minęły dwa lata. Młody pracuje w swoim miasteczku, w miejskim przedsiębiorstwie budowlanym. W międzyczasie zdał maturę. Otrzymał mieszkanie w nowym budownictwie, a kiedy będzie czytali o losie tej pary, młoda krzątać się będzie przy uroczystości nakrytym stole w oczekiwaniu gości. Niebawem się zjawia. Tatusz z niemowlęciem, pięknie spowitym w koronki i wstążki, za nim czteroletni synek i para chrestnych — znajomy już nam kapitan Wojska Polskiego z młodziutką ciocią niemowlęcia, oraz obie pary dziadków. Rodzice młodego przystali dla swojej wnusci super-modny, jak śnieg bielutki, głęboki wózek.

Zaproszono także listonoszkę z mężem. Bo zapomniałam Wam powiedzieć, że w ciągu trzech miesięcy przymusowej rozłąki żona otrzymała od męża 131 listów na wielkich podaniowych papierach formatu 30x20. Nic więc dziwnego, że te listy w sprawę romansu wciągnęły i listonoszkę...

HALINA BAYER
(Na podstawie pracy nadesłanej
na „Konkurs 20 lat”)

Uroki

Janna Jabierewska

Nareszcie pogoda! Słońce się uśmiecha,
w traw czubkach spoczywa i w smrekach
wysokich.
Cała ziemia w soczystym uroku dojrzewania
zda się śpiewać, tańczyć, wzlatywać w obłoki,

co odblaskiem promiennym czeszą swoje
grzywy,
naświetlając widnokrąg wielobarwną łuną,
że wszystko dookoła w powietrzu przejrzystym
gra symfonią zaklętą w czarodziejskich
strunach.

Ileż strun! Srebrem mieni się dolina.
Nad pól seledynem pieśń ptaków się niesie.
Białych mgieł opary i ich zwiewne strzępy
przepływają nad łąką i kryją się w lesie,

pośród mchów gwiazdzistych, u stóp kolumn
smukłych,
nad którymi błękitność swój przepych
rozwiesza.
— Bezsilne są słowa, by mogły odtworzyć
wielkość tego piękna w najwspanialszych
wierszach.

Jakże człowiek maleje w obliczu przyrody!
On, co tworzy, buduje, włada całym światem,
a jest w swym mijaniu dźwiękiem, który
milknie,
pyłem najdrobniejszym, co przelata wiatrem.

Ta świadomość wartości życia nie umniejsza.
Takie prawo czasu. Takie prawo przemian.
Przemijamy. Lecz wiemy, że zostaną po nas
naszej pracy ślady. — Morza, gwiazdy, ziemia...

A tymczasem pogoda. Niebo się uśmiecha
i rozsypa uśmiechy w wszystkie świata strony.
Radują się pola, góry i równiny
raduje się człowiek — wielce utrudzony.

Z tomu: „W drodze”
Wyd. Śląsk

Miss Uniwersum

Włodzimierz Perzyski

Wpannie Poli, urzędnicze, kochał się dziennikarz Stalówka. Stalówka był zajadłym wrogiem demokracji, parlamentaryzmu i wszelkich wyborów. Te rzeczy tak go bolały, że po prostu nie mógł o nich nie mówić. I bardzo często usiłował dzielić się swoim oburzeniem z ukochaną. Ale urzędniczka krzywiła się od razu i wzruszała ramionami.

— Jaki pan nudny. Co mnie to wszystko może obchodzić.

— Powinno panią obchodzić.

— A cóż by mi ze zmiany ustroju przyszło?

Stalówka zdawał sobie sprawę, że poruszaniem tematów socjologicznych nie tylko nie zyskuje łask panny Poli, ale bardzo wiele w oczach jej traci. Powstrzymanie się jednak od poruszania tych tematów przewyższało jego siłę. Miał za bardzo wybuchowy i ekspansywny temperament. Doszło do tego, że panna Pola stała się bardzo dla niego oziębła i zaczęła go unikać.

Na szczęście ogłoszono doroczny konkurs piękności. Stalówka od razu rano zatelefonował do panny Poli. Usłyszał zimne opryskliwe pytanie.

— Czego pan chce?

— Pani musi stanąć do konkursu.

W słuchawce rozległ się krótki, wesoły śmiech. Nikt by nie przypuszczał, że z tych samych ust mogły się dobywać przed chwilą opryskliwe i zimne dźwięki.

— A czyż pan sądzi, że ja mam jakie szanse uzyskania nagrody?

— Tylko pani.

— Czy ja wiem. Może się zdecydować. Niech pan przyjdzie po południu.

Odpowiedź panny Poli nie była szczerą. Idąc do biura wstąpiła na pocztę i wysłała fotografię na konkurs. Stalówka spóźnił się więc z radą. Ale pannie Poli przyjemnie było jego opinię usłyszeć. Od tej chwili mogła już zupełnie szczerze wierzyć, że stanęła do konkursu, bo ją wszyscy znajomi gwałtownie namawiali.

Nigdy Stalówka nie był tak miły, jak tego popołudnia. Zdawało się, że zapomniał o demokracji i parlamentaryzmie. Mówił tylko o modzie kobiecej. Porównywał pannę Polę z wszystkimi klasycznymi pięknościami, tłumaczył, na czym polega jej wyższość, i dowodził jej z matematyczną ścisłością wreszcie, że nikt inny, tylko ona miała prawo do tytułu „Miss Polonii”.

— Ale czy tam nie będą stronniczo sądzili? — zaniepokoiła się nagle panna Pola.

— Nie.

— Czy pan należy do sądu?

— Nie należę.

Panna Pola wydeła usta z wyrazem bezbrzeżnego lekceważenia. Stalówka dodał pośpiesznie:

— Ale mam znajomych, którzy należą.

— Zaproteguje mnie pan?

— Wszystko zrobię. To byłby skandal, gdyby panią nie wybrano. Największy skandal dwudziestego wieku.

— Lepiej się zabezpieczyć.

— Musi pani być wybrana. Albo ja jestem Stalówka i coś znaczę w społeczeństwie, albo...

Drugiego porównania Stalówce zabrakło. Nie dokończył więc zdania i powtórzył z naciskiem:

— Musi pani być wybrana.

Po tej rozmowie dziennikarz odzyskał łaski panny Poli.

Mógł już nawet tłumaczyć jej godzinami, że demokracja i parlamentaryzm się przeżyły. Panna Pola udawała, że słucha. Ale najmiłszym jej zajęciem, przy którym czas schodził słodko i niepostrzeżenie, było krytykowanie wszystkich kandydatek, które stanęły do konkursu. Oglądając fotografie, to dziennikarz, to panna Pola wykrzykiwali raz po raz:

— Co za czupiradio.

— Ta ma zupełnie krzywy nos.

— Ja bym się z taką gębą nawet wstydziła iść do fotografii.

— A ona uśmiechnęła się jeszcze.

Panna Pola decydowała się czasami na wspaniałomyślne ustępstwa.

— Ta ma niebrzydkie oczy. Gdyby nie nos, czoło, usta i uszy, to osta-

tecnie można by nawet powiedzieć, że przystojna.

Ale dziennikarz był nieublagany. Wzruszał ramionami.

— Ii, co pani mówi!

Pannie Poli nie wystarczyło już tytuł „Miss Polonii”. W marzeniach, do których wcale nie przynawala się Stalówce, widziała się już wybraną na „Miss Europe”, a potem na „Miss Uniwersum”.

Wyobrażała sobie ten dzień, w którym w aureoli wszechświatowej sławy wróci z Ameryki do Warszawy. Od Pruszkowa wzdłuż plantów aż czarno od tłumów. Pociąg musi iść wolniutko. Naraz wstrząs, zgrzyt. Co to? Odczepili lokomotywę. „Drgnęło serce stolicy” i ta „Judność, na której się nikt nie zawiodł”, pcha wagony własnymi rękami.

Wszystko trzęsie się od okrzyków.

— Niech żyje „Miss Uniwersum”! Niech żyje nasza panna Pola!

A rozkołysane polskie zboża, srebrne rzeki, pamiętające Krzywoustych i Łokietków, i te obłoki, którym równych piękności nie masz na świecie, zdają się powtarzać:

— Nasza, nasza, nasza!

I nagle coś okropnego, coś po prostu nie do wiary. Panna Pola otrzymała sześćdziesiąte któreś miejsce.

Stalówka bał się już pokazać. Ale urzędniczka zatelefonowała po niego sama. Była blada, wyniosła, spokojna.

— Miał pan słuszość.

— Pod jakim względem? — zapytał niepewnie Stalówka. Obawiał się, że ten początek był tylko jakimś krwawym szwercem.

— Wybory! Widzi pan, do jakich nadużyć prowadzi wybory. To jest



świętostwo ostatniej próby. Ja się dziwię, że rząd na coś podobnego pozwala. Przecież to tylko demoralizuje społeczeństwo. „Miss Polonia” powinna być naznaczona.

— Ma się rozumieć — podchwycił rozentuzjasmowany Stalówka. — Co to za sens jakieś głosowanie. Anachronizm. Podsyłanie przestarzałych nałogów.

— Pan jest najmądrzejszym człowiekiem na świecie.

I panna Pola osunęła się w objęcia Stalówki.

Z tomu „NOWELE”
Wyd. PIW.

Henryk Sienkiewicz Duma



rys. A. Uniechowski

PEWNEGO razu pani X. miła i zacna staruszka, opowiadała w dość licznym gronie młodych pań i panienek następującą anegdotę.

— Duma jest wadą dość u nas powszechną. W mężczyznach zbyt ostre jej kanty ściera samo życie, ale kobiety nie mogą się jej nieraz długo pozbyć i stają się przez to nieznośne. Dziwne jest przy tym to, że duma

odznaczają się nieraz osoby, które nie mają żadnego dobrego ku temu powodu. Tak było i ze mną.

Byłam bardzo „pyszny” dzieckiem. W miarę lat wada ta rozwijała się we mnie coraz bardziej. Na pensji moje wyniosłe obejście zraziło do mnie koleżanki, później, w salonach, towarzyski zabawy i młodzież. Nie lubiano mnie i nazywano „księżniczką”, ale to właśnie schlebiali mojej miłości własnej i potęgowało jeszcze dumę.

Z tego powodu żaden młody człowiek nie zbliżył się do mnie — i byłabym niezawodnie dotychczas rutką siałą, gdyby nie to, że niespodziewanie zostałam raz na zawsze z mojej wady wyleczona.

Było to przed spowiedzią wielką. Przy rachunku sumienia przyszło mi na myśl pytanie, czy moja duma nie jest tym samym co pycha, która, jak wiadomo, stoi na czele grzechów głównych.

Przystąpiwszy więc do konfesjonału, w którym siedział nie mój zwykły spowiednik, ale jakiś wiekowy już ksiądz, wyznałam w końcu, po całej litanii innych grzechów, że jestem ogromnie dumna.

Ale staruszek nie dosłyszał widocznie dokładnie, albowiem otoczył dłonią ucho i zapytał:

— Jaka jesteś?

— Dumna — odrzekłam nie bez poczucia pewnej wewnętrznej dumy, albowiem wydawało mi się, że byle kto nie może mieć takiego grzechu.

— Aha! dumna! No, proszę! A z czegoż ty, moje dziecko, taka dumna?

Milczałam, albowiem nie mogłam znaleźć na razie odpowiedzi.

— Czy może ty pochodzisz z jakiegoś historycznego rodu?

— Nie, wcale nie. Ot, szlachcianka jestem, jak każda inna, ale żeby tam ród mój miał być aż historyczny, to wcale nie.

— Aha! To może ty jesteś bardzo utalentowana albo uczona?

— I... Artystką nie jestem, a co do uczoności, skończyłam pensję, ale teraz ciocia wprowadza mnie w świat, więc nawet nie bardzo mam czas co czytać.

— No! już wiem: musisz być bardzo bogata?

— Nie, ojcze. Tata ma wioseczkę, ale i trochę długów, a ciocia żyje z emerytury po mężu.

— Cóż wreszcie? Bo... mnie to tam nie obchodzi i nie dowidzę, ale jeśli nie to i nie drugie, to chyba musisz być bardzo urodziwa?

— Tak sobie... niczego! Brzydka może nie jestem, ale gdzie mi tam do piękności...

— Aha! — rzekł znowu ksiądz.

I po chwili do mnie:

— No, to uspokój się, moje dziecko, bo ty jesteś głupia, nie dumna, a to wcale nie jest grzech...

I oto w jaki sposób straciłam raz na zawsze moją dumę.

Z tomu: „NOWELE WSPÓŁCZESNE”
Wyd. PIW

WCZORAJ, DZIŚ, JUTRO

Jak już podawaliśmy, XV Plenum KC PZPR przyjęło tezy na IV Zjazd Partii. Oto fragmenty, też.

W czerwcu odbędzie się IV Zjazd PZPR; jednocześnie rok 1964 — to rok 20-lecia Polski Ludowej. Narodziny Polski Ludowej i wszystkie przemiany w tym okresie wiążą się najściślej z imieniem Partii. Od 20 lat Partia kieruje sterem władzy ludowej, od 20 lat masę pracującą z klasą robotniczą na czele są gospodarzem swojego kraju, od 20 lat budujemy socjalizm w Polsce Ludowej — stwierdzają tezy.

Następnie tezy przedstawiają bilans dwóch dwudziestolecia — Polski burżuazyjnej i Polski ludowej.

20-LECIE MIĘDZYWOJENNE

Polska lat 1918—1939 była krajem biednym, o nie rozwiniętej ekonomice. Wartość produkcji przemysłowej i rolniczej w przeliczeniu na 1 mieszkańca była trzykrotnie mniejsza w porównaniu z Francją, Anglią, Niemcami i Włochami, a produkcja przemysłowa stanowiła zaledwie

16,5 procenta produkcji tych krajów.

W ciągu całego 20-lecia międzywojennego produkcję rolną cechowała stagnacja. Na przykład plony 4 zbóż wynosiły w latach 1909 do 1913 przeciętnie 11,2 kwintala z ha, zaś w latach 1934—1938 — 11,4 kwintala. Globalna produkcja rolna w przeliczeniu na 1 mieszkańca wzrosła w 20-leciu Polski burżuazyjnej zaledwie o około 3,6 procenta.

W latach 1928—37 zbudowano w miastach zaledwie około 810 tysięcy izb mieszkalnych. W roku 1931 poza szkołą pozostawało 10 procent dzieci w wieku szkolnym, a 73 procent ogółu uczniów na wsi uczyło się w szkołach niepełnych, w których klasa czwarta była najwyższą. Ponad 5,5 miliona osób w wieku powyżej 10 lat nie umiało czytać i pisać, a jednocześnie co siódmy nauczyciel był bezrobotny.

Bezpłatna pomoc lekarska w okresie przedwojennym obejmowała zaledwie 14 procent ludności.

W 20-LECIU POLSKI LUDOWEJ

Od pierwszych lat po zwolnieniu odbudowa i rozwój przemysłu stanowiły naczelną warunek rozwoju całej gospodarki narodowej. Do roku 1963 globalna produkcja socjalistycznego przemysłu wzrosła blisko dziewięciokrotnie w stosunku do poziomu z roku 1938, a w przeliczeniu na 1 mieszkańca — dziesięciokrotnie. Przeciętne zatrudnienie w przemyśle wynosiło w roku 1963 — 3.390 tysięcy osób, wobec 859 tysięcy w 1937 roku.

W Polsce Ludowej rozwiązane też zostały podstawowe problemy nekające wieś w 20-leciu międzywojennym. Dzięki stale wzrastającym na-

kladom inwestycyjnym i wzrostowi zaopatrzenia rolnictwa w podstawowe środki produkcji — systematycznie rośnie produkcja rolna. Plony 4 zbóż z 1 ha wzrosły (przeciętna roczna) z 12,7 kwintala w latach 1950—1955 do 17,2 kwintala w latach 1961—63.

Zlikwidowano na zawsze kosztowne zjawisko ludzi zbędnych na wsi; w wyniku reformy rolnej przydzielono chłopom przeszło 6 milionów ha ziemi za bardzo niską, rozłożoną na wiele lat opłatą; ogromne zadłużenie przedwojenne gospodarstw chłopskich zostało zlikwidowane.

W roku 1963 dochód narodowy Polski Ludowej (liczony w cenach z 1937 roku) był ponad trzykrotnie większy niż w roku 1937, a w przeliczeniu na 1 mieszkańca wzrósł 3 i pół raza.

Znacznej poprawie w stosunku do okresu przedwojennego uległa również sytuacja mieszkaniowa, chociaż całkowite rozwiązanie tego problemu nastąpi dopiero w przyszłych latach. W latach

(Dokończenie na str. 11)

Zasłużyły

Jest niedziela. Zastaję panią profesor w domu. Już dawno minął uroczysty dzień, ale całe mieszkanie nadal jest pełne kwiatów, nadesłanych przez przyjaciół i znajomych na wieść o wysokim odznaczeniu. Patrząc na tę młodzieńczą, ruchliwą osobę, trudno uwierzyć, że ma za sobą przeszło 30 lat pracy pedagogicznej.

— Mam mówić o sobie? — wzrusza ramionami. — Nic szczególnego. Ukończyłam uniwersytet we Lwowie, później byłam asystentką. Następnie wykładałam w Krakowie na tamtejszym uniwersytecie, potem tu w Lublinie zorganizowałam dwie katedry literatury polskiej. To wszystko.

— Jak przyjęli słuchacze wiadomość o odznaczeniu pani profesor?

— Byli naprawdę wzruszający. W każdej sali wykładowej zastałam na katedrze kwiaty. Młodzież składała mi gratulacje. Wiele radości sprawiły mi listy moich dawnych uczennic z gimnazjum.

— A pani sama?

— W ogóle nie spodziewa-

łam się tego. Nie należę do żadnej organizacji. Jestem bezpartyjna. Po prostu ucze...

Czy tylko „po prostu” uczy? Za zgodą pani profesor sięgam do listów, zaścielających stolik. Oto co pisze jedna z dawnych uczennic, A. Z. z Gdańska.

„Mija 30 lat od chwili, kiedy przesiadłam do gimnazjum, w którym Pani uczyła. W poprzednim miałam notę niedostateczną z polskiego. Pewnego dnia, dając nam dowolny temat, spytała Pani, o czym chciałabym napisać. „Jak sobie wybierzesz coś, co najserdeczniej, najmocniej zapadnie ci w pamięć, na pewno dobrze napiszesz” — powiedziała Pani. Otrzymałam bardzo dobry stopień. Było w tym wiele Pani zasługi, dzięki tej życzliwości, jaką mnie (i nie tylko mnie) Pani otoczyła. Gdy potem spotykały mnie w życiu niepowodzenia, nie załamywałam się już tak łatwo, mając w doświadczeniu to przeżycie”.

Kielce, Poznań, Hrubieszów, Kraków — czytam na nadesłanych kopertach. Tuż obok

listów — podłużne, czerwone pudełko.

— Prawda, jaki piękny? — mówi pani profesor otwierając pudełko. Leży w nim Krzyż Komandorski Orderu Odrodzenia Polski. Obok — otrzymany w 1954 roku Złoty Krzyż Zasługi.

DLA LUBELSKIEJ WSI

DRUGA odznaczona mieszkanka Lublina — **Melania Wilkiewicz**, otrzymała Sztandar Pracy II klasy. Jest sekretarzem Zarządu Wojewódzkiego Ligi Kobiet. Gdy mówię o jej działalności społecznej i politycznej, przerywa niezmiennie:

— Ja sama nic nie zrobiłam, to my wszystkie razem.

A przecież pani Melania ma za sobą szmat roboty społecznej i organizacyjnej. Zaczęła w roku 1945 jako sekretarz Związku Samopomocy Chłopskiej w swym rodzinnym Tomaszowie Lubelskim — od organizowania kursów krawieckich dla kobiet.

— Jaka dziedzina najbardziej panią zajmuje obecnie?

— Usługi dla wsi — mówi pani Melania, zastrzegając od razu, że z Ligą Kobiet współpracują rady narodowe i Związek Młodzieży Wiejskiej. — Założyliśmy punkty fryzjerskie; mamy już 200 fryzjerek. Czy pani wie, że w tym samym dniu, w którym byłam dekorowana, siedemnastu z nich otrzymało dyplomy czeladnicze?

„Oczkiem w głowie” pani Melanii są domy higieny. W każdej takiej placówce jest pralnia i łaźnia.

— Nawiazaliśmy też kontakt ze szpitalem onkologicznym — opowiada. — Lekarze ruszyli w teren. Dzięki przeprowadzonym w porę badaniom — leczenie wykrytych u pacjentek schorzeń dało już dobre rezultaty.

— Jak pani, tak zaabsorbowana społecznymi pracami, organizuje swoje życie osobiste, domowe?

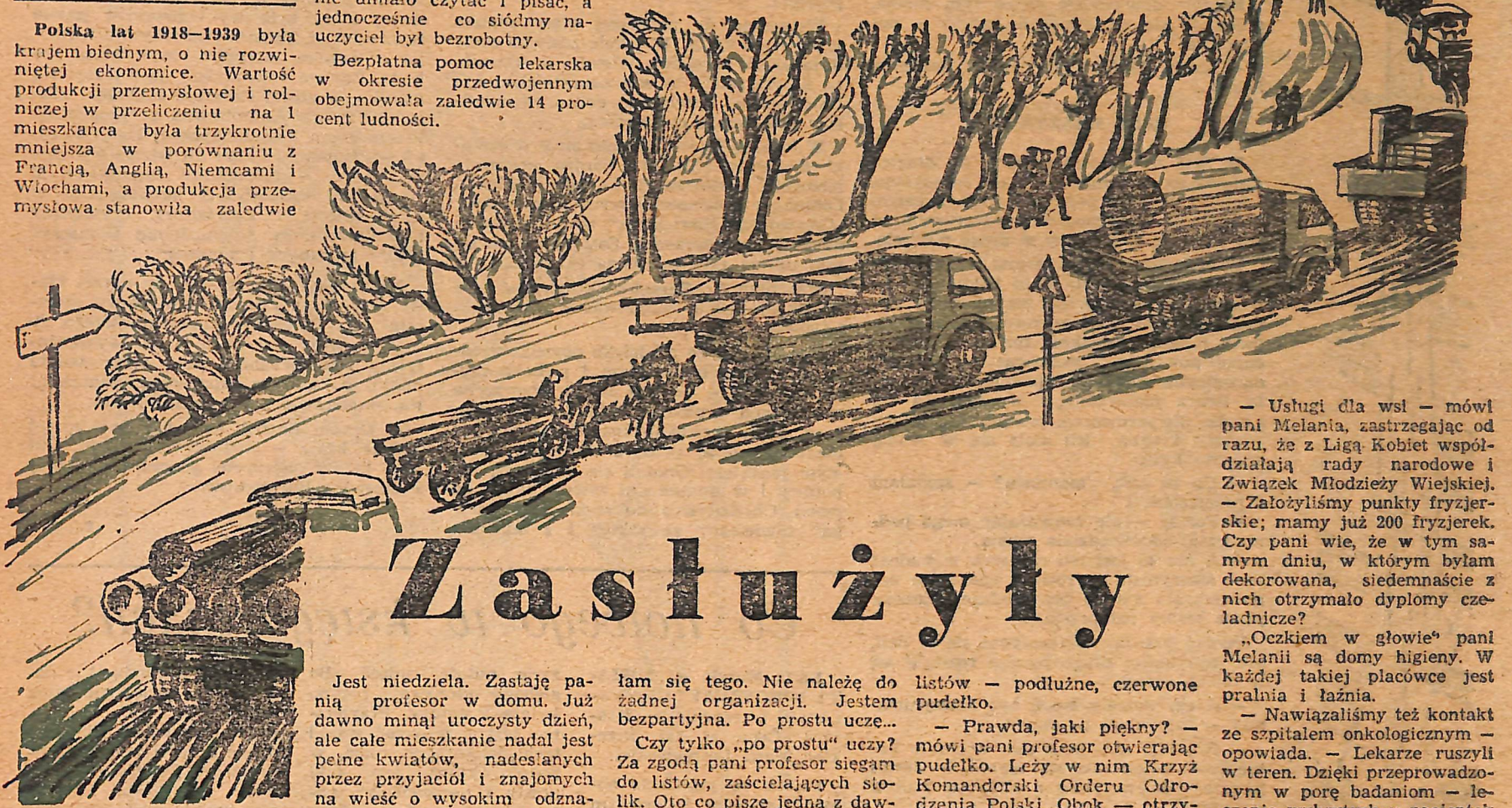
— Jakoś daję sobie radę. Dzięki mężowi, który, gdy ja jestem zajęta, opiekuje się naszą córeczką Basią.

PANI NACZELNY DYREKTOR

MÓWI mgr inż. **Hanna Tarchalska**, naczelną dyrektorkę Zjednoczenia Przemysłu Farmaceutycznego „Polfa”, odznaczona Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski:

— O przyznaniu mi tego odznaczenia dowiedziałam się w nocy, w piątek 6 marca.

(Dokończenie na str. 12)



Z okazji Święta Kobiet przewodniczący Rady Państwa, Aleksander Zawadzki, udekorował szereg zasłużonych kobiet wysokimi odznaczeniami państwowymi. Odwiedziliśmy kilka z odznaczonych:

„PO PROSTU UCZE...”

LUBLIN. Mieszka tu i pracuje prof. dr Janina Garbaczowska. Opowiadano mi, że gdy przedstawicielka Ligi Kobiet zatelefonowała do pani Garbaczowskiej i nie wspominając o przyznaniu jej Komandorii zawiadomiła tylko, że jest oczekiwana w Radzie Państwa, pani profesor żywo zaprotestowała: „Nigdzie nie pojedę, nie mam czasu! Muszę prowadzić konsultacje ze słuchaczami, pisać przecież teraz prace magisterskie!”

KOSMOS — OTWARTY OCEAN

(FRAGMENTY)

Wcześniej nauczyliśmy się z Tanią pływać. Miałam wtedy bodaj sześć lat. Za naszą wsią, niedaleko lasu, znajduje się duży, prostokątny staw. Woda jest w nim tak czysta, że można się w niej przejrzeć, jak w lustrze. Wokół wsi porzucane są także inne, mniejsze stawy. Jeden z nich polyskiwał taflą lodowatej wody akurat naprzeciw naszego domu. Właśnie w nim nauczyłam się pływać. Wdrapując się z Tanią na sam czubek brzozy, rozkładałam ręce i z zamierającym sercem, niczym jaśkółka, rzucam się do wody... Pamiętam dumę, jaka mnie ogarnęła, gdy po raz pierwszy przeplątałam nasz staw — z jednego brzegu na drugi. Przecież na środku można było utonąć — nawet chłopcy z trudem osiągnęli tam dno!...

Kiedy dowiedziała się o tym mama, gniewała się na mnie. A babcia — pochwalila:

— Zuch, Wala! Tacy radzą sobie w życiu!...

BĘDĘ MASZYNISTĄ!

W 1945 roku nasza rodzina, po długich namysłach, przeniosła się do Jarosławla. Ludia i Wowka pojechali wraz z całym dobytkiem samochodem ciężarowym, a my z mamą ruszyliśmy w drogę piechotą.

W odległości pięciu wiorst od Jarosławla drogę przecinała linia kolejowa i tu właśnie zobaczyłam po raz pierwszy pociąg. Zdumiał mnie parowóz. Okryty dymem i parą, przemknął tuż obok, roztrącając powietrze, stukając po szynach ogromnymi kołami. Zapamiętałam wesołą twarz maszynisty, wychylającą się z budki. Za parowozem przemknęły zielone wagony i okna ich zwały się w jedną, srebrną linię.

— Co to jest, mamusi? — spytałam z przejęciem.

— Pociąg — nie zauważając mego podniecenia, odpowiedziała mama.

— A kto to jest ten człowiek w budce?

— Maszynista — równie spokojnie odpowiedziała mama, przechodząc spiesźnie przez wolny już przejazd.

Pociąg już dawno rozpląnął się w dali, ale jego łoskot długo jeszcze rozlegał się w moich uszach.

— A czy kobiety mogą być maszynistami? — zapytałam po chwili.

— No, idź, idź, jaka tam z ciebie kobieta! — roześmiała się mama. — Jesteś jeszcze dziewczynką i alfabetu musisz się uczyć...

A ja nagle zapragnęłam prowadzić parowóz! Podobnie, jak przedtem marzyłam o tym, by zostać traktorzystą i orać, jak niegdyś ojciec, ziemię i siał zboże...

Zamieszkaliśmy przy ulicy 8 Marca, w osiedlu im. Frunzego, na cichym przedmieściu. W dużym, drewnianym domu babki — matki mamy, Sołomonidy Jakowlewny. Dom był duży, ale stary. Wszystko w nim trzeszczało i poskrzypywało. W drugiej połowie domu nikt nie mieszkał, przechowywano tam pszczele woszczyny, leżało mnóstwo zakurzonych książek, stały gąsiory, słoje, butle i butelczki. Ucieszyłam się, bo przecież to wszystko można zamienić w zabawki! Ale mama wyniosła niepotrzebne graty, wyrzuciła śmieci, wszystko wymyła i wyczyściła.

W pierwszej chwili ogarnęła mnie nigdy jeszcze dotąd nie doznana tęsknota. Nie szumiały już pod oknami lipy, nie szeptały brzozy, ani nie polyskiwały stawy. Nie gwizdały słowiki, ani wiatr nie kołysał zielonych fal żyta... Nawet pokryta żużlem ziemia i zakopcone fabrycznym dymem niebo wydawały mi się odmienne od tam-

tych, tak dobrze znanych z Maslennikowa... Cieszyło mnie tylko jedno: w pobliżu stromym, porośniętym przez piołun nasympem biegła linia kolejowa. Często przybiegałam tu z nowymi koleżankami — córkami włóknarek, pracujących w czerwonych fabrycznych zabudowaniach. Siadałyśmy na trawie i obserwowały, jak mkną pociągi. Szczególnie interesowały mnie parowozy. Szybko zorientowałam się, że nie są one jednakowe — różna była ich barwa, odmienne koła, każdy ma nawet swój własny sposób gwizdania. Byłam przekonana, że nie ma pod słońcem piękniejszej i bardziej skomplikowanej maszyny niż lokomotywa. Kiedyś, odprowadzając zazdrosnym wzrokiem pociąg pośpieszny, który ze świstem i hałasem przemknął koło nas, zwierzyłam się koleżankom:

— Zostanę maszynistą!...

JESIENIĄ mama oddała mnie do szkoły nr 10. Pierwszy raz odprowadziła mnie też Ludia. Mama przynaglała do pośpiechu, zwolniła się bowiem z fabryki tylko na kilka godzin. W tym okresie mama pracowała już w kombinacie włókienniczym „Czerwony Pieriekop”

Murowany, dwupiętrowy budynek szkoły, znałam już wcześniej — bywałam na jego obszernym podwórzu, zaglądałam do czystych, obszernych izb lekcyjnych. Ale mimo wszystko, kiedy stanęłam oko w oko z młodą nauczycielką — Marią Michajłowną Kokoriewną, byłam bardzo przejęta.

Wstępując do pierwszej klasy znałam już litery i cyfry. W szkole zdziwiła mnie duża ilość obrazów. Wisiały w klasach, na korytarzach i w sali nauczycielskiej — Najwyższym Przybytku, dokąd zaglądaliśmy z lękiem i ciekawością.

W trzeciej klasie przyjęto mnie w szeregi pionierów. To był bardzo uroczysty moment. Ustawiliśmy się koło popiersia Lenina, w obecności starych bolszewików „Czerwonego Pieriekopu”, złożyliśmy pionierskie przysiężenie. Zastępowa zawiązała mi na szyi czerwoną chustkę...

Czas płynął. Zaczęłam przywykać do miejskiego życia, znajdować w nim uroki i radości.

Okazało się, że niedaleko naszego osiedla przepływa malownicza i głęboka rzeka Kotorosł — dopływ Wołgi. Naprzeciw czerwonych, ceglanych zabudowań kombinatu, gdzie pracowała mama, rozciąga się obszerna plaża, pokryta drobnym, złocistym piaskiem. Opalali się tu młodzi robotnicy i w upalne dni zawsze było tam pełno. Chodziliśmy do rzeki „całą paczką” rówieśnicy ze szkoły i z oddziału

pionierskiego. Z początku pływałyśmy ostrożnie, gdyż kręta rzeka płynie wartko. Ale za każdym razem zapuszczaliśmy się dalej. Jako jedna z pierwszych przeplątałam w końcu całą rzekę i znalazłam się na drugim jej brzegu.

Koło kombinatu nad Kotorosłą przerzucano dość wysoki żelazo — betonowy most. Jeżdżą wtedy autobusy i samochody. Najodważniejsi chłopcy skakali z mostu w wodę.

— Czy my gorsze od chłopców? — powiedziałam kiedyś. — Skoczmyż?!

Pobiegliśmy, ile nas było, na most, spojrzaliśmy w dół. Och, jak wysoko! Ale wycofać się nie sposób. — Chłopcy są tuż, tuż i podśmiewają się!...

Przypominały mi się maslennikowskie stawy i brzozy. Wspięłam się na balustradę, zamknęłam oczy i — rzuciłam się w dół, w chłodną wodę. Wypłynęłam, popatrzyłam w górę i zobaczyłam mnóstwo ludzi, którzy coś krzyczeli. Postanowiłam skoczyć jeszcze raz, aby znowu doświadczyć przyprawiającego o dreszcz spadania, przypominającego w swoisty sposób lot!...

Minęły egzaminy — pierwsze w moim życiu. Skończyłam szkołę podstawową. Dyrektor Aleksandra Wdowina wręczyła mi podarunek: zbiór poezji Konstantego Simonowa i gipsową płaskorzeźbę, wyobrażającą Włodzimierza Majakowskiego. Była to pierwsza nagroda — za pilną naukę. Teraz rozpoczęłam naukę w średniej szkole żeńskiej nr 32. Wychowawczynią mojej klasy była wykładowczyni języka francuskiego, Tamara Anatoliewna Klimoka — wysoka, szczupła, ciemnowłosa kobieta. Zawsze widziałyśmy ją z francuską książką, w której sterczała zakładka. Czasami Tamara Anatoliewna przynosiła na lekcję organ Komunistycznej Partii Francji — „Humanité” albo niedzielne wydanie tej gazety — „Humanité Dimanche”. Z przejęciem oglądaliśmy zamieszczone w nich zdjęcia i karykatury, czytaliśmy i próbowaliśmy samodzielnie tłumaczyć tytuły artykułów i notatek.

Na mapie, która wisiała w naszej klasie, terytorium Francji było pokryte kwiatami bzu. Dlaczego? Zapewne dlatego, że w tym kraju jest dużo bzu. Wyobrażałyśmy sobie Francję jako jeden wielki ogród, po którym spacerują zakochani muszkieterowie z powieści Dumasa.

— Oprócz Francji są i inne, nie mniej piękne kraje — żartobliwie przypominał nam kiedyś nauczyciel geografii, Prokopij Pietrowicz Burmistrz.

c.d.n.

Co nowego w księgarniach?

Edita Morris — „KWIA-
TY HIROSZIMY” (Wydaw-
nictwo Literackie — Kra-
ków. Cena zł 15). Prze-
kład Marii Leśniewskiej.

Piękne są japońskie obrazy malowane kolorowym tuszem. Subtelne w rysunku, delikatne w barwach, pełne czaru i wyrazu, jak... „kwiaty Hiroszimy”. Książka ta pisana jest w formie pamiętnika młodej Japonki, Juki, do której domku przypadkiem trafia cudzoziemiec. Zachwycony urodą młodszej siostry Juki i serdeczną atmosferą całej rodziny — odnajduje u niej pokój.

Czar mieszkańców kraju kwitnącej wiśni przesłania Amerykaninowi prawdziwe życie tych, którzy przeżyli bombę atomową.

Minęło zresztą od tego strasznego dnia już czternaście lat. Amerykanin śmieje się więc i bawi. Nie tylko z dziećmi, ale i z dorosłymi, którzy potrafią się cieszyć życiem, jak dzieci. Bo bardzo kochają

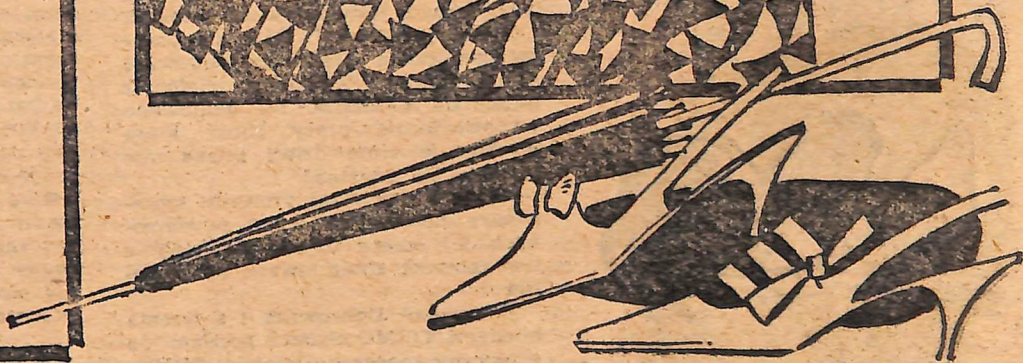
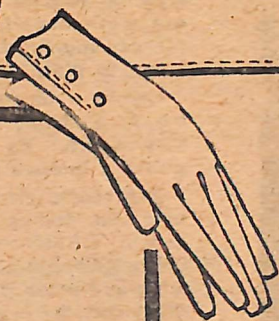
życie, miłość, radość. Bo głęboko odczuwają piękno świata i natury. Przyjemnie jest przebywać wśród tych delikatnych ludzi, w pokoju, który „jest taki prosty i harmonijny”, patrzeć na „cichy ogródek miniaturowy niby chusteczka, z jedną jedyną wiśnią nad śpiącą sadzawką”. Amerykanin nie wie, że Juki i jej rodzina wciąż narażona jest na skutki zabójczych promieni. Nie wie, że kimonami przykrywają blizny szpecące ich ciała, a uśmiechem „zakrywają” blizny okaleczonych serc i lęk przed nad-

chodzącą śmiercią. Nie domyśla się, że jedynie przez delikatność nie okazują swych cierpień, aby nie mącić radości innych. Wiele rzeczy nie rozumie, nie wie. Ale powoli zaczyna się przed nim odsłaniać ten „drugi świat” szczęśliwej rodziny. Dowiaduje się też dlaczego pękli świeżych, białych kwiatów pływają po rzece. Jak na to reaguje? Jakże są dalsze losy rodziny ślicznej Juki?...

Książkę czyta się z wielkim zainteresowaniem i nie można jej zapomnieć. Taka jest urocza, choć wstrząsająca.



Wiosna 1964



Conki „mamy” Dąbrowskiej

Pierwsza, którą poznałam ma brązowe oczy; każde przymrużenie sypie z nich złote iskierki. Ta druga, w spodniach, w sportowej kurtce i okularach na przykrótkim nosku, sprawia wrażenie młodziutkiej nauczycielki, której sztuczna powaga ma dodać autorytetu. Trzecia, o pięknej blond grzywie, miała właśnie w planie mycie włosów, ale telefonicznie przywołana przez „mamę”, natychmiast wsiadła do autobusu i przyjechała na miejsce naglej zbiórki.

Wątpię, czy wszystkie trzy mają w sumie 70 lat. Nie są ani siostrami, ani żadnymi powinowatymi, „mamę” jednak mają wspólną, „mamę” z wyboru, której kilka lat temu wcale jeszcze nie znały. Za to zna tę mamę niemal każdy sosnowiczanie. Jak każda mama młodych ludzi, Helena Dąbrowska przekroczyła już pięćdziesiątkę. Ze zdumieniem spoglądałam jak żwawo się porusza na opuchniętych, schorowanych stopach. Wesoło, rubasznie i gromko rzuca polecenia „córkom”. A ma ich ponad setkę.

Każda z innej strony Polski, każda „ze świata”. Z małych wiosek Kielecczyzny, z osiedli rzeszowskich i białostockich. Ukończywszy szkoły zawodowe, spotkały się przy krosnach i urzędniczych biurkach sosnowieckich zakładów produkcyjnych, spotkały się w hotelu robotniczym.

Tu znalazła je „mama” Dąbrowska i wciągnęła w wielką życiową przygodę. Odtąd nieustannie pogłębiają swą wiedzę o ludziach i o życiu, uczą się czynnie wpływać na bieg cudzych trudnych losów.

Oto na przykład pijak L., sosnowiecki robotnik. Podniesiony z jezdni przez Pogotowie MO, otrzymuje swoją kartę w obszernej kartotece milicyjnej. Tu i tu mieszka, w takich to zakładach pracuje, tyle a tyle ma



dzieci. Wyciąg z pijackiej karty trafia natychmiast do inspektora do spraw ORMÓ, a więc do rak Heleny Dąbrowskiej, zastępcy komendanta do spraw kobiecych.

Razem z dzielnicowym i którąś z młodych córek — „ormówek” Helena Dąbrowska składa pierwszą wizytę w pijackim domu. Potem obie — ta starsza i ta młodsza, dzielą się swymi obserwacjami, zastanawiają się, radzą. W wyniku ich wizyty społeczny cyrkiel zatacza szeroki krąg. Obejmuje radę zakładową, szkołę, ośrodek zdrowia, Polski Komitet Pomocy Społecznej... Rozmowy z pijakiem w zakładzie pracy, środki zapobiegawcze w postaci wypłacania pieniędzy żonie, korepetycje dla słabo uczących się dzieci, może prewentywum dla tego o najsłabszym zdrowiu?

Przyznam się Wam, że to połączenie młodej, samotnej, w gruncie rzeczy mało doświadczonej dziewczyny — z rodziną pijaka, właśnie to połączenie było dla mnie zaskakujące. Ale w szkole życia Heleny Dąbrowskiej (wieloletniej przewodniczącej komitetu blokowego, do niedawna kierowniczką męskiego hotelu robotniczego) można sobie na takie połączenie pozwolić. W tej bowiem szkole można ujrzyć rzadką sztukę: przyjacielskie traktowanie, pełne szacunku dla każdego, bez cienia ironii, moralizatorstwa, wywyższania się, czy protekcyjnalizmu. W tej szkole, z każdym najbardziej nawet społecznie uciążliwym człowiekiem rozmawia się tak, że człowiek czuje się wywyższony i nabiera ochoty, by następną godziną jego życia okazała się lepsza od teraźniejszej. Tak więc nierzadko lepka od brudu izba, odwiedzana kilka razy w tygodniu przez młodą ORMÓwkę po jakimś czasie zmienia swój wygląd, dzieci przestają świecić dziurami w pończochach. Chętnie przedstawiają „pani milicjantce” swoje zeszyty, a także bywają przepytywane z lekcji.

Młoda „ormówka” staje się przyjacielem domu. Można jej powierzyć swoje sprawy. Wystarczy telefon z milicji do zakładów, by anulowano wypowiedzenie pracy babci, która wychowuje troje dzieci pijaka, nie łączącego na rodzinę.

Każda z dziewcząt prowadzi szczegółowe notatki na temat powierzonych jej opiece dzieci. Materiały z tych notatek dyskutowane są zespołowo.

Z „mamą” Dąbrowską i z trzema młodymi ORMÓwkami poszłam na wieczorny spacer po mieście. ORMÓwskie patrole bowiem niemal co dzień dokonują obserwacji sosnowieckich ulic.

— Idź, syneczku do domu, co tu będziesz po dworcu chodził? Jeszcze cię kto może zaczepić — mówi „mama” do młodocianego zawiadki o nader nieustraszoną wykładzie.

Zaraz usłyszę „łacinę” — pomyślałam. Tymczasem młody człowiek szastnął nogami — nie pytań obszerne wytłumaczył, na kogo czeka. pytał, czy mógłby zapisać się do ORMÓ, i czy to płatne zajęcie.

Ośmio — dziesięciolatki, blakające się po godzinie 20 pod oknami wystawowymi, na widok ORMÓwek gnają z miejsca do domu.

Nie trzeba chyba nikogo przekonywać, jak dalece pożyteczny jest ten żeński ORMÓ-wski hufiec. I choć praca „ormówek” będzie w pełni owocować może dopiero po latach, ich obecność, ich czujność i aktywność, ich taktowne, przyjacielskie zachowanie się — budzi szacunek, imponuje. Imponuje nawet tym, którym za imponować bardzo trudno.

ORMÓwki wysłuchują pogadanek z zakresu pedagogiki, psychologii i prawa rodzinnego. Razem z kolegami ORMÓ-wcami wyjeżdżają na turystyczne wycieczki, a „mama” Dąbrowska nosi się obecnie z zamiarem zorganizowania klubu młodzieżowego, w którym młodzież ORMÓ-wska mogłaby potańczyć, wysłuchać ciekawej prelekcji, obejrzeć telewizyjny spektakl, a także spotykać się ze swymi podopiecznymi. A podobno, jeśli „mama” nosi w sobie zamiar, to niezależnie od trudności, nabiera on realnych kształtów.

Województwo katowickie jest pierwszym (oby nie jedynym), które zorganizowało u siebie ORMÓ-wskie podzespoły pedagogiczno-wychowawcze. Członkami tych podzespołów są w przeważającej liczbie kobiety, a także członkami organizacji młodzieżowych. Podzespoły otaczają opieką trudne rodziny. Działają w ścisłej współpracy z inspektorami milicji do spraw nieletnich, z inspektorami szkolnymi i z sądami dla nieletnich. Zespół Heleny Dąbrowskiej jest jednym z takich ciekawszych zespołów.

B.

Kto był, co jadł...

...na świątecznym śniadanku? W tekście ukryte są (poza wymienionymi) imiona kilkunastu zaproszonych oraz kilkanaście nazw potraw i napojów. Poszukajcie dobrze. A jak szukać? Oto dwa przykłady, których naturalnie nie ma w zamieszczonym tekście.

Ktoś mówi: Moja Janeczka. Ukryte jest w tym słowo jaja. Albo: baba siadła. Z tego powstaje imię Basia.

Wszystko jasne?

Odpowiedzi na te małe świąteczne zabawy nadsyłać należy do 15 kwietnia br. pod adresem: „Przyjaciółka”, Warszawa, Wileńska nr 16, z zaznaczeniem na kopercie „Świąteczna zabawa”.

Nagrodami będą wartościowe książki.

A więc bawimy się!

*

Stół nakryty, zaczynają schodzić się goście. Pani Barszczewska, ważna jak zwykle, ze swym nieśmiałym mężem i Renatą, dzikuska jakich mało, z siostrą i dwoma braćmi.

„Niech nam habecia sto lat żyje!” — rozbrzmiał pierwszy toast. „Jedźcie, kochani — zapraszają Stacha — lin à la flaczka to habeci specjalność. A moja pascha bardzo wam będzie smakowała na deser”. Nikt w to nie wątpił. Takich ryb i gospodarskich enót w ogóle, wszystkie panie im zazdrościły.

„Nie wypijaj, Kaziu, całej wódki” — trąciła męża pani Barszczewska. „Racja, nektar to wprawdzie boski — odparł pan Kazio — ale jako lekarz wiem, co grozi jego ofiarom”. „A niech cię kule biją! — zaprotestował Zbyszek. — Zaraz powiesz, że na święta najlepsze napoje to syrop i woda”. „Nie pleć, wikłasz całą sprawę” — zaprzeczył się doktor. „Koniec tym banialukom, potraficie chyba mówić o czymś ciekawszym?” — przerwała babcia. A że na stole zjawiała się właśnie maszynka do kawy — znów zapanał dobry nastrój.

Stodcka tajemnica J. Minkiewicz

Gdy noc zapała ciucha
I ciemność już była w kurniku,
Kura szepnęła: „Stuchaj!”
Budząc koguta po cichu —
„Głos wprost zamiera mi w grdyce
I wszystko zdaje się bajką,
Bo stodką mam tajemnicę:
Stuchaj,
Będziemy
Mieć
Jajko!!!”



LUBISZ WIOSNĘ

Starzy ludzie odczuwają wiosnę w kościach. Młodzi w sercu. Mężczyźni zioną w portfelu, kobiety we wzmocnionym zainteresowaniu wystawami z konfekcją. W Urzędach Stanu Cywilnego wzmagają się ruch, przylatują zza morza bociany, kury sadzą się na jaskach, ptaki rozpoczynają miłosne nawoływania. U ludzi odczuwają się wtedy choroby wrzodowe żołądka, a także ochota do romantycznych spacerów przy księżycu i śpiewie słowików. Taki moment należy wykorzystać usuwając mężczyznę, że najbardziej wzorowym małżonkiem jest słowik. Podczas, gdy pani słowikowa wysiada jajeczka, małżonek, aby umilić jej to nudne zajęcie, siedzi na gałęzi i zawodzi miłosne trele. Nie ucieka na żadne płasie konferencje, ani nie miewa bólów głowy z przepracowania...

Wraz z kalendarzową wiosną świat wchodzi w znak zodiaku „Barana”. Według astrologów, lu-

dzie urodzeni pod tym znakiem są dobrymi organizatorami, wykazują duży upór, mają wiele zalet towarzyskich, a także kapryśne usposobienie, jak przysłowiowa marcową pogoda. Na niebie świecą takie konstelacje, jak Kasjopea, Andromeda i Wodnik. Dnie są dłuższe, noce jaśniejsze i krótsze.

W wiosenne burzliwe noce i węgore mają swoje problemy. W srebrzystych godowych szatach wyruszają z rzek i jezior na tarlisko do morza, w kierunku Bermudów. Instykt działa tak silnie, że ze zbiorników wodnych nie mających żadnego odpływu, wyskakują na trawę i pełzną po rosie nieomylnie w kierunku najbliższej rzeki. Czasem droga jest długa, wszędzie słońce, osuszy rosę i węgore ginie. Chłopi wtedy mówią, że „węgore przychodzą nocą groch kraść z pola”. Ale to nieprawda. Wszechpotężna wiosna gna je na tarlisko, skąd nigdy już nie wracają.

Wiosna to także piękny i alegoryczny obraz Botticellogo

o tej samej wieści. Przekazywane są suknie, szal i różne kwiaty. Skoro w takich — pamiłkach, a w wiosnach, a w śniegach, (sa pod pchają się ce, fiołki, lipany i nimi chęć w czasie ni z tam Jajko bo życia na dycja ka okresie Obcyat dzi jeszt stwa.

Wiosna to także piękny i alegoryczny obraz Botticellogo

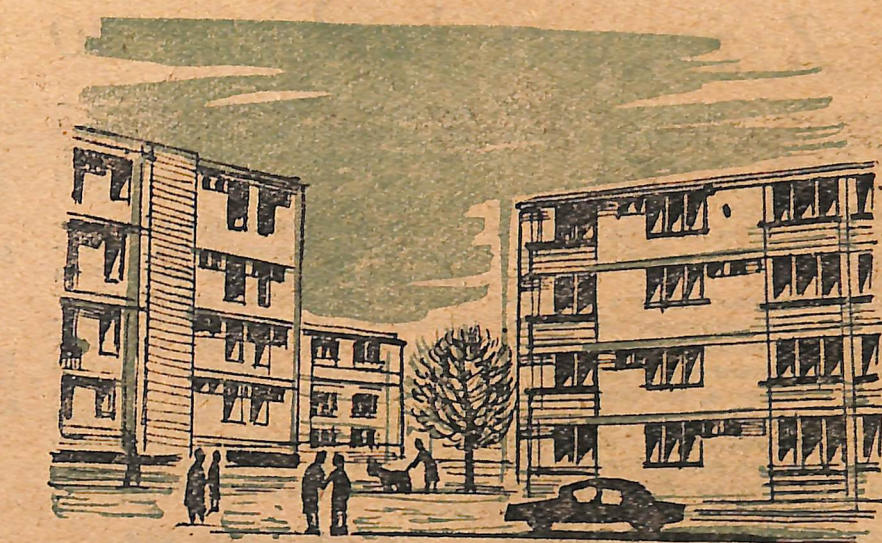
DO OSIEDLA prowadzi wąska alejka, wysadzona drzewkami. Na każdym plastikowa plakietka. Czytamy: „Drzewko Jasia Kowalskiego. Proszę nie niszczyć — hoduję na konkurs”. Następne drzewko — Marysi Piekarskiej, następne — Iwonki, potem Jurka itd. Każde dziecko ma tu swoje drzewko, którym się opiekuje. Wszystkie zaś dzieci dbają o czystość podwórek, trawników, kwiatników itp.

Takich osiedli jest w Warszawie pięć. Należą one do Spółdzielni Mieszkaniowej „Energetyka”; spółdzielni, jakich niewiele jeszcze w kraju. Na czym polega niezwykłość „Energetyki”?

Jesteśmy na osiedlu „Brazylija” na Saskiej Kępie. Krótka przed wybiciem godziny 10. z kilkunastu klatek schodowych wybiegają maluchy i jak jeden mąż pędzą do osiedlowego przedszkola. Nie byłoby w tym nic ciekawego, gdyby nie fakt, że są to tylko dzieci... mamek nie pracujących. Zajęcia odbywają się tu cztery razy w tygodniu, a oprócz tego raz w tygodniu po południu, przedszkole staje się również przechowalnią dzieci uczęszczających stale do miejskich przedszkoli. W ten sposób rodzice mają „wychodne”. Mogą spokojnie pójść do kina, teatru, z wizytą.

Dzieci w przedszkolu przebywają pod opieką wychowawczyni i dwóch dwururających mam. Każda matka ma dyżur raz na 6 tygodni i jeszcze się nie zdarzyło, żeby któraś zawiodła. A tymczasem pozostałe mamy korzystają ze swobody. Mogą wyjść na miasto po zakupy, załatwić ważną sprawę lub porządkować mieszkanie. Już niedługo chodzenie po zakupy częściowo im odpadnie. Bowiemyż zanim te słowa zostaną wydrukowane, mieszkańcy osiedli „Energetyki” będą korzystali ze zbiorowego zaopatrzenia w produkty spożywcze. W tym celu na klatkach schodowych zostały zainstalowane specjalne szafki. Każda rodzina otrzyma własną szafkę zamykaną na klucz. Na początku miesiąca inkasent pobierze za datkę na zakupy, a w zamian dostarczy plik kart zamówieniowych.

Przemyślano wszystko do najdrobniejszych szczegółów; nawet to, że ktoś zamówi produkt, którego brakuje w sklepie. Karty zamówieniowe opracowano mianowicie w ten sposób, że nazwy produktów żywnościowych umieszczone są na nich grupami. Za-



OSIEDLE METWIOWYCH MARZEN

mawiając masło, jednocześnie podkreśla się zamiennik, na przykład „Palmę” lub margarynę, co oznacza, że taki produkt pragnie się znaleźć w szafce, w wypadku braku masła.

Zamówienia realizowane będą dwa razy dziennie — rano i po południu. W najbliższej przyszłości mieszkańcy osiedli będą w ten sam sposób kupowali drobne artykuły przemysłowe: mydło, kosmetyki, papierosy, żyletki.

*

DZIECI z głowy, zakupy z głowy. Musiał więc samorząd spółdzielni pomyśleć nad tym, aby się nie pracującym kobietom... nie nudziło. W świetlicach osiedlowych odbywają się zatem kursy kroju i szycia, kursy wychowywania dzieci, racjonalnego odżywiania itd. Świetlice są zresztą centralnymi ośrodkami życia osiedlowego. Dla dorosłych urządza się w nich odczyty i koncerty. Dla dzieci słabszych w nauce zorganizowano korepetycje. Jest mnóstwo sekcji rozrywkowych, jak: chór, balet, rytmika, gimnastyka, pracownice plastyczne, fotograficzne, modelarskie, a także kursy języków obcych.

Na każdym osiedlu młodzież zorganizowała własną milicję podwórkową. „Milicja” pilnuje, żeby nikt nie wybił szyby lub nie złamał drzewka, aby chłopcy nie ciągnęli dziewczynkę za włosy, słowem, aby nikt nie „rozrabiał”. Jest też sekcja ru-

chu drogowego, która czuwa zwłaszcza nad kolarzami.

W razie wypadku pozostaje jeszcze ostatnia deska ratunku — własne pogotowie ratunkowe. Bez karettek co prawda, ale pogotowie. Mieszkający bowiem na osiedlach „Energetyki” lekarze podzielili swój czas w ten sposób, że jeden z nich zawsze przebywa w domu. Udzielają pomocy bezpłatnie, od skaleczonego palca do ataku wątroby włącznie.

W wiosenne i letnie niedziele kto żyw wybierze się za miasto na wycieczkę. Organizowane przez „Energetykę” wycieczki mogą być wzorem dla tych, którzy zawodowo zajmują się organizacją wypoczynku niedzielnego.

*

KIEDY zapytaliśmy kierownika działu samorządu spółdzielni, panna Kociszewskiego, o tajemnicę sukcesów „Energetyki”, odparł:

— W osiedlach mieszka już 3 tysiące ludzi. Tymczasem życiem świetlicowym i organizacją imprez zajmują się etatowo tylko siedem osób. Są to fachowcy — instruktorzy. Reszta pracy spoczywa na barkach mieszkańców. Ich życzliwej współpracy oraz pewnemu drobnemu pomysłowi zawdzięczamy, że życie w naszej spółdzielni jest łatwe i miłe.

— A jakież to pomysły?

— Udziały członków spółdzielni trzymamy na koncie PKO. Bank ten, jak wiadomo, płaci półtora procenta od wkładu. Rocznie czyni to w naszym wypadku prawie milion złotych, który w całości przeznaczamy na ułatwianie życia mieszkańcom.

W. NAG.



Emila Zolę jako tytuł jego wspaniałej powieści „Germinal” bowiem to według kalendarza rewolucyjnego nazwa miesiąca, w którym kielkowały zboża.

*

CHOCIAŻ wiosna jest piękną porą roku i czekamy na nią z utęsknieniem, to jednak fizycznie nie czujemy się w tym okresie najlepiej. Jesteśmy osłabieni, skarżymy się na bóle i mnóstwo innych dolegliwości. Nie wyglądamy kwitnąco. „Kwitną” nam jedynie paznokcie w białe plamki. Na te nasze dolegliwości wpływa brak witamin, soli mineralnych i niedotlenienie organizmu, spowodowane częstym przebywaniem w mieszkaniu i brakiem ruchu na świeżym powietrzu. Dlatego też, gdy tylko pojawią się nowaliki, należy z nich obficie korzystać. Rozmaite surówki poprawiają nam wydatnie cerę, a przede wszystkim ogólny stan zdrowia. Na wiosnę także... wylażą piegi. Ten nadmiar pigmentu nie da się radykalnie usunąć. Jedynym lekarstwem jest szybka opalenizna i powiedzenie sobie, że „kobieta bez piegów to jak niebo bez gwiazd”.

K. NEP.

Co o niej wiesz?

jej nazwie — „Prima” przedstawia młodzieńca w zielonej kwiecistej bluzie boso po łące przepływającą z koszyka

już mówimy o kwiatkach. Pierwszymi zwiastunami są krokusy w górach, a nizinach przebiegają pierwiosnki i sasanki (ochroną). Za nimi ku słońcu kaczęnie, żonkile, narcyzy, tulipanty. Tymi ostatnimi ozdabiamy stół Wielkanocy, na równym pisankami. Wiosna jest symbolem ziemi i dlatego traktujemy ją w wiosennych świąt. Jest prastary i pocho-

*
A zyskała odbicie w literaturze i muzyce. Turgieniew napisał powieść pt. „Wiosna”. Jeden z tomów Reymonta nosi tytuł „Wiosna”. Na scenach nie-

mieckich teatrów w okresie secesji wystawiano dramat pt. „Przebudzenie wiosny” — Wedekinda. W muzyce sławi ją Haydn w wielkiej symfonii „Pory roku”. Strauss zamknął jej piękno w „Odgłosach wiosny”. W poezji znalazła swoje poczesne miejsce nieomal u wszystkich poetów świata. W Persji układał rymy na jej cześć Hafiz. Safona obrała sobie tę porę roku do swych wierszowanych uniesień. Lenartowicz stworzył poemat „Wiosna”. Księgę XII „Pana Tadeusza” Mickiewicz zaczął od słów: „O wiosno, kto cię widział wtenczas w naszym kraju...”

W poezji uciemionego kraju wiosna stała się symbolem rewolucji. Wyraziła to w swoim wierszu Maria Konopnicka, a cała ówczesna Polska odczytywała go właśnie symbolicznie:

Za tą głębią, za tym borem
Tam stała rzeka lodem.
Ani szumi ani płynie,
Tylko duma w swej głębinie.

Gdzie jej wiosna, gdzie jej hoża
Gdzie jej droga hen do morza...

*

WIOSNĄ LUDÓW” nazwano okres 1846 — 1848 roku, kiedy to wielkie ruchy wolnościowe z udziałem mieszczaństwa, robotników i poparte przez chłopstwo objęły całą Europę. We Francji rewolucja lutowa obaliła króla Ludwika Filipa, ogłaszając II Republikę. Ruchy wolnościowe przechodziły także przez państwa niemieckie. Najcięższy kryzys przeszła Austria, kiedy to powstanie w Wiedniu obaliło rządy Metternicha. Węgry pod wodzą Ludwika Kossutha oderwały się wtedy od Austrii. W rewolucji na Węgrzech mieli także swój udział Polacy, między innymi Henryk Dembiński i Józef Bem.

Do symbolicznego znaczenia słowa „wiosna” nawiązuje Stefan Żeromski w „Przedwiośnie”. Podobne znaczenie ma słowo „Germinal”, użyte przez



NA PIERWSZYCH stronach wielu gazet zamieszczono takie zdjęcie: ojciec trzyma w ramionach dwu, najwyżej, trzyletniego synka. Ciało dziecka pokryte jest wielkimi ranami. Rany te, a raczej oparzeliny, pochodzą z napalmu, zrzuconego na wioski w południowym Wietnamie z amerykańskich helikopterów.

Wielkanoc jest dla wielu narodów świętem symbolizującym pokój. Ale niejednym dziś kraj na świecie jest wciąż terenem ciężkich, bratobójczych walk. Nie ma spokoju na Cyprze, chociaż przybyły tam wojska ONZ; nie ma spokoju w Południowym Wietnamie, gdzie wraz z wojskami kolejnego, posłusznego Stanom Zjednoczonym rządu, do walki przeciw patriotom posyłane są amerykańskie oddziały.

Kraj ten wchodził przed laty w skład francuskiej kolonii — Indochin. Kolonizatorzy francuscy toczyli tam bardzo długo „brudną wojnę” przeciw ruchowi wyzwolenicemu, ale przegrali ją i musieli przyznać Indochinom niepodległość. Miejsce Francuzów w Południowym Wietnamie zajęli Amerykanie, którzy patronują nowej „brudnej wojnie” — przeciw ludności, która domaga się ziemi, chleba, reform społecznych i demokracji.

Partyzantka demokratyczna kontroluje wielkie połacie Południowego Wietnamu. Popierają ją chłopci. To też przeciw nim zwracają się coraz nowe akcje pacyfikacyjne wojsk amerykańskich, które nie oszczędzają ani starców, ani kobiet, ani dzieci.

Opinia publiczna na świecie potępia tę wojnę, która tak czy inaczej, podobnie jak poprzednia, prowadzona przez Francję, musi zakończyć się klęską dla wrogów narodu wietnamskiego.

WYROK W DALLAS

WYROK w Dallas został wydany. Sedzowie, mimo wysiłków obrońcy, która próbowała przedstawić oskarżonego jako człowieka nienormalnego, wydali wyrok skazujący Jacka Ruby'ego na śmierć. Nie jest to wyrok ostateczny, ponieważ obrońcy wnoszą apelację i wiele czasu może zająć ostateczne rozstrzygnięcie sprawy. Ale ludzie w Ameryce i poza nią zadają sobie pytanie: dlaczego na tym procesie starannie unikano wszyskiego, co miałoby związek z zamordowaniem prezydenta Kennedy'ego?

Według relacji znanego uczonego amerykańskiego, Buchanana, który podjął się prowadzenia śledztwa w tej sprawie na własną rękę, morderstwa tego dokonał nie jeden człowiek i nie Oswald, Ale Oswald był współnikiem zbrodni i to współnikiem, którego próbowano się szybko pozbyć. Buchanan nie wyklucza możliwości, że współnikiem był również Ruby, któremu powierzono zadanie „sprzątnięcia” Oswalda.

Dlaczego nie przesłuchiwała więc Ruby'ego specjalna komisja, która bada okoliczności zabójstwa Kennedy'ego? Uczciwi Amerykanie zadają sobie to pytanie i uważają, że próba ukrycia prawdy byłaby jeszcze jedną zbrodnią przeciwko Ameryce.

STRAJK 6 MILIONÓW

6 MILIONÓW Francuzów — pracowników zakładów użyteczności publicznej i wielu prywatnych fabryk, strajkowało 18 marca na znak protestu przeciwko redukcjom i pogorszeniu sytuacji bytowej.

Z żywym kurkiem po dyngusie

Obchodzony w drugie święto Wielkiejnocy dyngus, zwany żartobliwie w niektórych dzielnicach Polski dniem świętego Lejka, wywodzi się z pradawnej wiary w oczyszczającą moc wody, która obmywa duszę z grzechów, a ciało z zimowej drętwoty.

Dyngus łączono często z obnoszeniem lub obwożeniem po wsi koguta. Zwyczaj ten, podobnie jak wędrowki z szopką i turoniem w okresie świąt Bożego Narodzenia, był pozostałością po średniowiecznych widowiskach ludowych, po kościelnych misteriach. Z upływem lat zatracił coraz bardziej swój religijny charakter i zamienił się w wesołą zabawę świąteczną, która w różnych okolicach przyjmowała rozmaite formy, ale zawsze „kurek” był głównym bohaterem.



Czasami obnoszono tylko od chaty do chaty najokazalszego z całej wsi koguta. Częściej jednak młodzież przygotowywała specjalny wózek na dwóch kółkach, przybrany kwiatami z bibułki i „drygółami” czyli bukiecikami z wstążek i farbowanego pierza; na wózku w otoczeniu kolorowo ustrójonych lalek sadzano „kurka”.

Oczywiście najweselsze było, jeżeli na wózku jechał żywy „kurek”. W tym celu urządzano zawczasu obławę na najpiękniejszego koguta, który następnie otrzymywał porcję owsa nasączonego wódką. Tylko pijany kogut siedział bowiem spokojnie, a do tego jeszcze często i bardzo pociesnie piał.

W wielu wsiach ograniczano się jednak do „kurka” zrobionego z drzewa lub gliny, albo uszytego ze szmat, a tylko ustrójonego w pęki piór, które bezlitośnie wyrwano żywym kogutom.

W niektórych okolicach panował jeszcze inny zwyczaj. Przebijano za „kurka” jednego z dyngusiarzy. Narzucano mu na ramiona kawałki ciemnego sukna, mające naśladować skrzydła; na głowie umocowywano „grzebień” wystrzyżony z czerwonej krajki, a u brody czerwony język czy dziób z drzewa.

Obchód z „kurkiem” rozpoczynali chłopcy w „lany poniedziałek” już od

samego świtu. Ustrojeni odświętnie — zatrzymywali się przed chatą i grzecznie pytali, czy mogą wejść. Wstępowali dopiero na zaproszenie gospodarzy.

Jeżeli w chacie zastali tylko starszych ludzi, odśpiewali przy dźwiękach towarzyszącej im kapeli kilka pieśni wielkanocnych, przyjęli poczęstunek — i szli dalej. Zabawa nabierała smaku dopiero tam, gdzie były młode panny. Przybierała wówczas charakter załotów, a kogut — symbol męskiej urody i siły młodzieńczych miał olśnić, oczarować dziewczęta. Piosenki także bywały wówczas załotne, często uszczypliwe, nierzadko frywolne.

Nasz kogutek głośno pieje,
Wstąja dziewczki od kądzieli.

Jedna wstała raniusieńko
I naprzedła cieniusieńko.

Druga wstała jeszcze raniej
I naprzedła jeszcze ładniej.

Trzecia wstała i drapie się:
Moja matko, ożeńcie mnie.

Moja córko, ledwoś wstała,
A już byś się żenić miała?

Czasami piosenki ostrzegały przed niebezpieczeństwem, grożącym chacie, w której jest szczególnie ładna dziewczyna:

Przy ogródku ścieżka,
Chowaj matko pieska,
Masz córeczkę ładną,
To ci ją ukradną.

Piosenka mówiła także o skutkach dziewczęcej latwości:

Pod zielonym dębem stoi koń
kowany.

Któż na nim wywija — Jasińko
kochany.

Wywija, wywija, drobne listki
pisze,

Dziewczyna dzieciątko w kolebce
kołysze.

Kołysze, kołysze i zaczyna płakać:
Albo wróć mi wianek, albo mi go
zapłać.



Obchód z kurkiem miał również cel czysto praktyczny: chłopcy przepatrywali, czy w chacie jest porządek, czy panny są gospodarne i pra-

wiedzial, handel jest najlepszym barometrem stosunków międzynarodowych. W dobrej atmosferze — rozwija się pomyślnie. W ziej, napiętej, zimnowojennej — kuleje.

O normalizację stosunków handlowych od dawna walczy ZSRR i inne kraje socjalistyczne. Domagają się jej także kraje, które zostały wyzwolone od kolonializmu, ale często dyskryminowane są nadal przez mocarstwa zachodnie, co utrudnia ich rozwój gospodarczy. Kraje te wysunęły przed Konferencją swoje postulaty, których zaspokojenie pozwoliłoby im szybciej wydobyć się z zacofania.

W DWÓCH ZDANIACH

Adiutant Hitlera, brat współpracownika Hitlera, Martina Bormanna, oddał się w ręce policji w Brazylii, gdzie ukrywał się od 8 lat. Policja nie jest jeszcze pewna, czy jest on tym, za kogo się podaje.

19 marca otwarto tunel pod Sant Bernardem, łączący Włochy ze Szwajcarią. W tunelu tym może znajdować się jednocześnie 75 samochodów.

ARA

cowite. Jeżeli coś im się nie podobało, wypominali to zaraz w piosence: Przeleciał gołąbek przez wysok.

dąbek,
Zajrzał do dziewczyny, czy ładny
porządek.

Swinia w piecu ryje, suka barszcz
gotuje,
Pies zamiata izbę, kotek usługuje.

Oczywiście, odwiedziny z kurkiem po dyngusie nie mogły się obejść bez poczęstunku, o który zresztą dyngusiarze sami się upominali:

Dajcie nam tu, dajcie, co nam
macie dać,
Bo nie chcemy długo koło okien
stać.

Za poczęstunek pięknie dziękowali i opuszczali chatę. I oto teraz dopiero następowała najweselsza część zabawy, bo na wychodzących z chaty chłopców już czekały dziewczęta z dzbankami, z wiadrami pełnymi wody. Zaczynał się właściwy dyngus. Chłopcy uzbrojeni w butelki z wodą, a nierzadko w strażacką sikawkę — nie pozostawali dłużni. Panny piły i umykały niby to zagniewane, niby żałujące zmoczonej odzieży, ale w gruncie rzeczy rade, że mają u chłopców powodzenie.

I tak przez cały „lany poniedziałek” rozlegał się we wsi śpiew:

Przyszliśmy tu po dyngusie...

któremu towarzyszył plusk wody, pisk dziewcząt i wesołe śmiechy.

Oprac. J. ST.



TV

29.III—4.IV

Niedziela: 10.00 — Koncert laureatów (z Leningradu); 13.40 — „Samochodami przez Czarny Łąk” film CSRS; 14.00 — Świąteczna niedziela; 15.35 — „Disneyland”; 16.25 — „Czerwone pantofelki” — wid. dla dzieci; 17.30 — Ziemia, ludy, obyczaje; 18.00 — Wielokropek; 18.35 — Ludzie i zdarzenia; 18.50 — „Trzy razy dwa” — teleturniej; 20.35 — „Fernand Cowboy” — film franc.; 22.35 — „Czy pani gra w jo-jo” progr. rozrywk.

Poniedziałek: 10.00 — Reportaż z ZOO (Drezno); 14.15 — „Smigus w Ciągowcach” — widowisko; 16.20 — Teatrzyk dla przedszkol.; 16.50 — Przygody Robin Hooda; 17.20 — Znani i lubiani — progr. rozr.; 18.15 — Kino krótkich filmów; 18.50 — Impresje jazzowe — progr. balet; 19.30 — „Dom bez okien” film pol. (od lat 16); 22.20 — „Dudek” — komediodarsa.

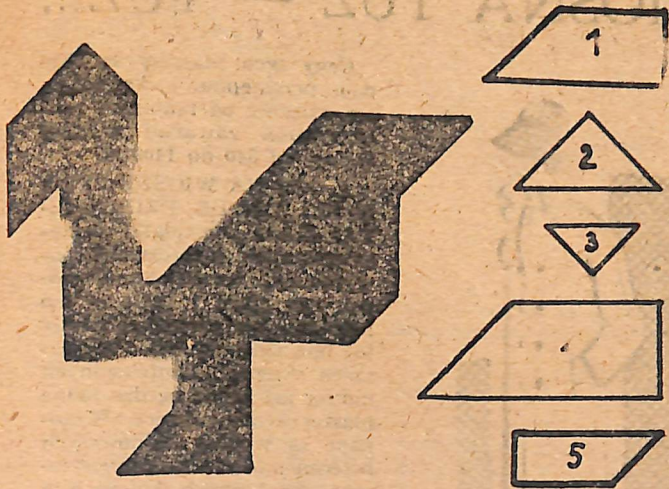
Wtorek: 17.05 — Program dla dzieci; 17.45 — Podróż po świecie; 18.00 — Gdy zakwitną bzy — progr. poet.; 18.30 — Kółko i krzyżyk; 19.00 — Sąsiednie domy — reportaż; 19.35 — Splewa M. Wojnicki; 20.30 — „Poste restante” — film rum. od lat 14.

Sroda: 10.00 „Doktor Kildare”; 17.05 — Program dla dzieci; 17.45 — Na zdrowie; 18.00 — Wiatr historii — progr. rozr.; 18.30 — Reportaż na zyczenie; 19.00 — Wszelchnica TV: A jednak się rusza; 19.20 — Ziemia moja — report. publ.; 20.30 — „Doktor Kildare”; 21.20 — Światowid.

Czwartek: 11.55 — Program dla szkół; 16.00 — Kurs rolniczy; 17.05 — Program dla dzieci; 17.35 — „Przygody dziwnego psa Huckleberry”; 18.00 — Kilka słów o programie; 18.20 — Przed Zjazdem — progr. publ.; 18.50 — Spotkania z przyrodą; 19.20 — Przegląd muzyczny; 20.30 — Kobra; „Kolekcja Piotra Meunier”; 21.30 — RWPG.

Piątek: 11.55 — Program dla szkół; 17.05 — Program dla dzieci; 17.30 — Rozmowy na tematy międzynarodowe; 18.05 — Wielokropek; 18.20 — W pracowniach polskich uczonych; 18.55 — Gwiazdy filmu niemego; 19.20 — Walki partyzanckie; 20.30 — Teatr TV — dramat „Sukowski”.

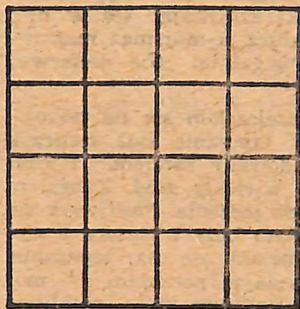
Sobota: 9.55 oraz 10.35 — Program dla szkół; 10.50 — „Niesfora siostra” film franc.; 16.45 — Wypowiedź ambasadora WRL; 17.05 — Program dla dzieci; 18.05 — Międzynarodowy turniej gimnastyczny; 19.00 — „Dyktando przez prerię” — film; 20.45 — Pegaz; 21.50 — Rymy, rytmy i nastroje; 22.20 — Film fabularny.



UKŁADANKA

Z podanych części spróbuj ułożyć ptaka o takich samych kształtach, jak na rysunku obok. Niektórych części musisz użyć kilkakrotnie.

Jeżeli sprawia Ci to zbyt duże trudności, poszukaj rozwiązania na stronie 14.



GRA LICZBOWA

Gra polega na wypełnieniu wszystkich pól figury cyframi 1, 2, 3, 4 w ten sposób, aby suma w każdym rzędzie poziomym i pionowym wynosiła 10. Każda z tych cyfr musi wystąpić co najmniej jeden raz.

Reguły gry można sobie dowolnie ustalić. Np. w ten sposób, że wygrywa ten, kto użyje najmniej jedynek (lub dwójek czy trójek) i kto najprędzej wypełni całą figurę.

W grze może uczestniczyć dowolna liczba osób.

Pani Gadająca

Każda z nas posiada wśród swoich znajomych co najmniej jedną Panią Gadającą.

Pani Gadająca, największe niebezpieczeństwo epoki atomowej, z zasady jest osobą rozporządzającą nieograniczoną ilością czasu (własnego i cudzego) oraz niewyczerpaną odpornością i energią psychiczną (choćby z pozoru wyglądała na chuchro).

Pani Gadająca zjawia się na horyzoncie domu nagle, jak piorun z nieba. Jesteś na przykład „zaawansowana” w porządkach domowych, brudna, spocona oraz wybitnie „niedysponowana wewnętrznie” do towarzyskiej rozmowy (matronek wytrępał dywany „byłe zbyć” zbił przy okazji doniczkę ze słubną palmą i wreszcie zostawił ci samą na pogorzelsku...). Ale ona „wpadła” tylko na chwilę, oczywiście. Przysiadła na skraju fotela, zastrzegła, że zaraz wyjdzie i... w ciągu kilku godzin „trawii” cię jak pożar.

— Okna ślicznie umyłam, zaraz „pojaśniało”, takie słoneczne mieszkanie, bo ja, musisz wiedzieć, podczas okupacji mieszkałam bez słońca, razem z Jasią, która okazała się bardzo zdolna, jest teraz na stanowisku, ma ślicznego synka, ale dziecko ma alergię, tylko że jeden lekarz, którego poznałam na wczasach wcale się temu nie dziwił, te wczasy były w Dusznikach, śliczna miejscowość, miłe współlokatorki, jedna z Krakowa, którą mąż porzucił po 2 latach, a brat jego mieszka w Anglii, Zuzia też była w Anglii, która Zuzia?, ta siostrzenica bratowej jednej pani, której ojciec przed wojną miał domek obok dzisiejszej fabryki elany, z elany były w

PeDeCie piękne spódniczki, ale Wandzia nie chciała kupić zielonej w kratę, a pani Lusja powiedziała, że jednak w kratę modniejsza i...

— Boże, Boże! Nie znasz żadnej Zuzi, ani Wandzi, nie wiesz, kto to jest pani Lusja, nie cię nie obchodzi jakaś pani z Krakowa, opuszczona przez męża, który ma brata, ani czyjś ojciec, który mieszka obok fabryki... Dlaczego musisz wysłuchiwać „tasiemcowych” historii od Adama i Ewy, o nieznanym ci ludziach, słuchać szczegółowych, nieciekawych analiz cudzych radości i smutków, a potem jeszcze „wiadomości z gazet”: o wypadkach samolotowych (myślisz: „firan-ki nieukrochmalone”), o Murzynach w Ameryce („trzeba skoczyć po masło”), o procesach („odkurzacze nawalił”)... Upięknij godzinę, błędnie, i pasowiesz, i znowu błędnie.

— Co ci złoćko? — przerywa Pani Gadająca. — Przemęczyłaś się widocznie. Weź kropelkę. Kiedy byłam u doktora Iksińskiego, powiedział...

Co powiedział, nie dowiesz się już szczęśliwie tego wieczoru, bo u progu zjawia się matronek „po rybce”.

Pani Gadająca wycofuje się z godnością. — Pogadamy sobie spokojnie kiedyś indziej — szepce ci już od progu. — Wpadnę niedługo znowu...

Znowu! Niedługo! Ludzie, ratujcie! Wynajdźcie receptę, jak bronić się przed Panią Gadającą! Zdradźcie ten sekret dla dobra wszystkich kobiet pracujących!

(M)

Wczoraj, dziś, jutro

(Dokończenie ze str. 5)

1950-63 zbudowaliśmy w kraju 4.276 tysięcy izb, w tym 2.699 tysięcy izb w budownictwie społecznym.

Ponad czwarta część ludności uczy się w szkołach wszelkich typów. Wszystkie dzieci w wieku szkolnym uczęszczają do szkół podstawowych.

Bezpłatna pomoc lekarska obejmuje ponad 60 proc. ludności. Państwo ponosi pełny koszt wszystkich ubezpieczeń pracowników gospodarki społecznej, podczas gdy przed wojną robotnicy musieli wpłacać na ubezpieczenia około 7 procent swego zarobku, otrzymując mniejsze niż dzisiaj świadczenia.

W LATACH 1966-1970

Podstawowe zadania kolejnej 5-latki są następujące:

● dalszy wydatny postęp w socjalistycznym uprzemysłowionym kraju;

● wzmoczenie wysiłku nad przyspieszeniem rozwoju produkcji rolnej;

● uzyskanie dalszej poprawy w bilansie naszego handlu zagranicznego;

● rozwój krajowej bazy surowcowej;

● obniżenie zużycia surowców, paliw i energii;

● zapewnienie około 1,5 miliona nowych miejsc w gospodarce narodowej;

● wzrost poziomu życia ludności odpowiedni do możliwości wynikających ze wzrostu dochodu narodowego;

● szeroki rozwój usług dla ludności;

● stopniowe tworzenie niezbędnych rezerw dewizowych, materiałowych i rolnych.

Tezy omawiają szczegółowo założenia planu gospodarczego na lata 1966-1970, perspektywy rozwojowe przemysłu i rolnictwa, inwestycji i budownictwa, transportu i łączności, handlu zagranicznego i wewnętrznego, gospodarki komu-

nalnej i mieszkaniowej, urządzeń kulturalnych i socjalnych, zatrudnienia i płac, nauki i techniki, oraz wskazują metody planowania i zarządzania.

KIEROWNICZA SIŁA

Ostatnia część też poświęcona jest zadaniom Partii w dziedzinie rozwoju demokracji socjalistycznej, w dziedzinie gospodarczej, na polu wychowania młodego pokolenia oraz w zakresie socjalistycznego wychowania społeczeństwa.

Tezy stwierdzają, że Partia przez cały okres 20-lecia była i pozostaje nadal decydującą siłą budownictwa socjalizmu i polityki ludowego państwa. Nasze naczelnne zadanie narodowe: uczynić Polskę nowoczesnym, socjalistycznym krajem o wysokim poziomie rozwoju gospodarki, kultury i dobrobytu ludności — jest zarazem zadaniem międzynarodowym, naszym najcięższym wkładem do historycznego współzawodnictwa socjalizmu z kapitalizmem, do walki o światowy pokój.

*

Naszymi oczami zjazdowymi toczy się ogólnonarodowa dyskusja. Bo też program działania wysunięty przez KC PZPR dotyczy nas wszystkich, każdego obywatela Polski Ludowej. Od nas samych bowiem, od naszej własnej pracy zależy, jak ten program zostanie zrealizowany, jak wykonane zostaną zadania bieżącej oraz następnej 5-latki.

Dyskusja nad tezami powinna wskazać drogi jak najbardziej racjonalnego i oszczędnego gospodarowania, ujawnić rezerwy i możliwości podnoszenia produkcji — bez nowych nakładów finansowych, oraz przyczynić się do jak najsilniejszego prowadzenia już podjętych inwestycji.

Dzięki konstruktywnej dyskusji Partia przyjdzie na swój IV Zjazd RAZEM z ludźmi pracy miast i wsi, z całym narodem, z dorobkiem jego twórczej inicjatywy i czynu zjazdowego.

Przed wojną Polska Ludowa

ABSOLWENCI SZKÓŁ ŚREDNICH ŁĄCZNIE Z ZAWODOWYMI	900 tys.	2645 tys.
ABSOLWENCI SZKÓŁ WYŻSZYCH	83 tys.	377,2 tys.
KADRA INŻYNIERSKA	12 tys.	103 tys.

SPECJAL „Przyjaciółki”

Wszystko już na święta przygotowane. Ale sosy najlepiej zrobić w ostatniej chwili.

Do pasztetów, szynki, zimnego mięsa pieczonego doskonały jest sos Cumberland.

Szklankę wody zagotować z łyżką octu winnego (6-procentowego). Tymczasem 15 dkg chrzanu wyszorować, oczyścić, zetrzeć na drobnej tarce i zalać tą wodą, która się już zagotowała z octem. Odcedzić. 50 dkg borówek (brusznicy) konserwowych przetrzeć przez sito. 10 dkg smażonej skórki pomarańczowej pokrajać w długie cieniutkie paseczki. Przetarte borówki wymieszać z chrzanem, skórką

pomarańczową, dodać 2 dkg musztardy, doprawić solą, cukrem i rozrzedzić wytrawnym winem do konsystencji niezbyt gęstego sosu.

Zamiast brusznicy można użyć galaretki z porzeczek, derenu, owoców dzikiej róży. Sos Cumberland, jako typowy ostry, zimny sos owocowy, rozrzedza się (szczególnie kwaśną galaretką owocową) winem wytrawnym (tanim, domowym), a podaje najczęściej do mięs zimnych, takich jak drób, dziczyzna, cielęcina. (Sos można zrobić i bez skórki pomarańczowej).

Sos wiosenny. Ugotowane na twardo jajko drobniutko posiekać. Pęczek szczypiorku drobno posiekać; zetrzeć na tarce około 1 łyżki chrzanu. Wszystko to wymieszać ze śmietaną, na dość gęsty sos.

Majonez na kuku, czyli oszczędny. Z 12 dkg maki pszennej i 10 dkg oleju (najlepiej sojowego) sporządzić białą zasmażkę, rozprowadzić

ją pół litrem wody, zagotować i ostudzić razem z 3 łyżkami 6% octu (najlepiej winnego). Mieszać z tą wodą sos, zagotować.

Z 20 dkg oleju i 2 żółtek przyrządzić szklankę majonezu (lub też kupić gotowy).

Zasmażkę połączyć z majonezem, osolić, dobrze wymieszać. Można skropić sokiem z cytryny, smakiem z grzybków marynowanych itp. Ilość przyrządzona powinna być zjedzona tego samego dnia.

Sos chrzanowy. 25 dkg śmietany wymieszać z 10 dkg utartego chrzanu, 2 dkg musztardy, oraz solą i cukrem do smaku.

Sos tatarski. Do gotowego majonezu, np. szklanki, dodać 10 dkg posiekanego ogórka konserwowego, 5 dkg grzybów marynowanych, pokrajanych drobno i około 10 dkg śmietany. Świetny do ryb, a także do zimnych mięs, wędlin i pasztetu. (IG.)

Przepis NA RYWALKĘ na wesele

Poniższy przepis należy — na odpowiedzialność Czytelniczki, która go nam przysłała i podobno sama wypraktykowała — wyciąć i wkleić do Poradnika Domowego pomiędzy rozdział „Jak wywabiać plamy” a „Dania jednogarnkowe”...

Doniesiono mi, że mój mąż znalazł sobie ciżbę. Szlag mnie chciał trafić, ale pomyślałam sobie, że trzeba działać ostrożnie i spokojnie. Wymacałam adres tej „lali” i kiedy mój mąż wybrał się na kolejny „nocny dyżur”, odczekałam i około godziny 0,30 udałam się tam również. Dzwonię do drzwi — cisza. Dzwonię jeszcze raz — nic. Za trzecim razem słyszę lekkie damskie kroki. Zaspąny głos pyta: „Kto tam? Co się stało?” Na to ja: „Czy tu jest pan S.?” Milczenie. „Jego żonę — brnę dalej — zabrano do szpitala. Stan bardzo ciężki. Szukamy go po całym mieście”.

Drzwi otworzyły się gwałtownie i stanął w nich mój rodzony mąż, zamieniony w oka mgnienia w słup soli. Mięłam go z godnością i weszłam do mieszkania, gdzie natknęłam się na drugi słup soli odziany w jedwabną piżamę. „Więc to tak!” — warknęłam, po czym wycedziłam w stronę mego męża: „Sądziłam, że znajduję tu co najmniej

Brigitte Bardot lub Ginę Lollobrigide, a widzę zabytek, któremu nie pomoże już żaden remont kapitalny. Minałeś się z powołaniem, trzeba było skończyć archeologię.”

Podeszłam bezwiednie do małego stolika i wzięłam do



ręki pierwszy lepszy przedmiot, jaki mi się nawinął. Pech chciał, że był to nóż do rozcinania książek. W tym momencie babsztyl zawył hi-

sterycznie i dał nogę do łazienki zamykając się w niej na klucz, a mój mąż mamrotał błagalnie: „Nie denerwuj się”.

Rozejrzałam się po pokoju. Przy tapczanie stał stoliczek naładowany żarciem. Poczulałam wściekły głód. Zabrałam się do jedzenia. Posiliwszy się zdjęłam buty i płaszcz i wyciągnęłam się na tapczanie. Zасыpiając poczułam, że mój mąż nakrywa mnie troskliwie koidrą i za chwilę kładzie się obok mnie. Gdy się obudziłam, była już 9 rano. Męża nie było. Wstałam, przyczesalam włosy, a przypominawszy sobie właścicielkę gościnnego lokum, zapukałam do drzwi łazienki. Po chwili ukazała się w nich poblada twarz. „Pani jeszcze tu?” Owszem — mówię. A gdzieżby? Przespałam się trochę i wychodzę. Na to ona: „Wyspała się pani na moim tapczanie, a ja musiałam się męczyć tutaj”. Wskazała mi posłanie w wannie, składające się z kilku ręczników i szlafroka kąpielowego. „Rzecz gustu — odrzekłam. — Pewni moi znajomi mieli psa, który sypiał zawsze do góry łapami. Niech pani sama powie, czy normalny pies sypia w ten sposób?”. „Jest pani wyjątkowo bezczelna — zgrzytnęła moja rywalka, czerwona z oburzenia. — Będę pani bardzo wdzięczna, jeżeli zechce pani natychmiast opuścić mój dom i zapomnieć o moim istnieniu. To samo proszę uprzejmie przekazać swemu mężowi.” „Uczynię to z przyjemnością” — odparłam.

Nie widziałam jej nigdy więcej. Mąż lasił się do mnie i przepraszał. Robi to zresztą do dnia dzisiejszego. Zauważyłam, że zaczął się mnie obawiać. Ale dlaczego? Ciekawe...

L. Z.

WIOSNA TUŻ — TUŻ...



Ceny tych płaszczy są bardzo przystępne i kształtują się, zależnie od tkaniny i procentowości zawartej w niej wełny, od 540 do 1400 zł.

A COŻ NA WIOSNĘ BĘDĄ NOSIĆ MŁODE DZIEWCZĘTA? Nasze „nastolatki” z zeszłorocznych płaszczyków powyrastały, trzeba kupić nowe. Ale gdzie i jakie — oto problem. Dla niejednej mamy to poważny kłopot. W naszych sklepach konfekcyjnych można już kupić bardzo ładne płaszczyki dziewczęce. Wykonane są według najnowszych poleceń mody — w kilku wzorach, w ładnych kolorach z tkanin 40 i 60 procent. Już za 220 zł można kupić płaszczyk z materiału o zawartości 40 procent wełny, zaś z tkanin o zawartości 60 procent wełny od zł 310-630. A więc ceny są bardzo przystępne. Tegoroczne płaszczyki dziewczęce cechuje prostota linii. Wykonane są miętko, bez usztywnień. Ramiona mają lekko poszerzone, proste, a rękawy wszyte w miejscach nasady ramienia, podkreślające ich kulistość. Płaszczyki są przeważnie luźne, lecz mogą być noszone z paskiem w talii czy na biodrach. Ten szczegół pozostawiamy osobistym gustom czy przyzwyczajeniom. Długość zawsze zakrywająca kolana. Kołnierze w tym sezonie nosi się małe, z wydłużonymi rogami lub okrągłe „bebe”. Kieszenie różne — cięte, cięte z patkami, albo nakładane. Oprócz wyżej wspomnianych, w sprzedaży są również bardzo modne, młodzieżowe w linii płaszczyki dziewczęce typu „redingote”

Rekl.
0-421-75

Zasłużły

(Dokończenie ze str. 5)

zaraz po powrocie z Bułgarii. Byłam tam na sesji Rady Wzajemnej Pomocy Gospodarczej, poświęconej nowym zadaniom farmacji dla rolnictwa. Konkretnie chodziło o wzbogacenie pasz witaminami, aminokwasami i antybiotykami.

— Jak długo pracuje pani w „Polsie”?

— Pracę w naszym Zjednoczeniu zaczęłam w 1948 roku, zaraz po skończeniu wydziału chemii Politechniki Warszawskiej. Przeszłam wszystkie szczeble służbowe od kierownika działu, aż do dyrektora naczelnego. Gdy minister wręczył mi nominację na dyrektora — było to półtora roku temu — zażartowałam, że jest to chyba nasz nowy „eksperyment”, jako że jestem jedyną kobietą na takim stanowisku...

— Jak przyjęła ten awans pani rodzina?

— Moja matka z prawdziwą dumą. Muszę pani powiedzieć, że w ogóle bardzo dużo zawdzięczam mojej matce. Czy mogłabym tak bez reszty poświęcić się pracy zawodowej, gdyby nie ona? Moja matka ma również wyższe studia. Skończyła ekonomię. Pracowa-

ła zawodowo przez wiele lat, gdyż ojcie straciłszy bardzo wcześnie. Może właśnie dlatego matka tak dobrze rozumie moje ambicje.

— A pozostali domownicy?

— Cóрка to już wielka panina, w tym roku zdaje maturę. A mąż jest moim kolegą po fachu, także chemik. Poznaliśmy się na studiach. Dobrze się rozumiemy.

— Jak ocenia pani rozwój naszego przemysłu farmaceutycznego?

— Chociaż historia niektórych naszych zakładów sięga stu lat, to jednak przed wojną mieliśmy tylko niewielkie fabryczki. Rangę wielkiego przemysłu zdobył nasz przemysł farmaceutyczny dopiero po drugiej wojnie światowej. Zaspokoili on nie tylko potrzeby kraju, ale unowocześnił swój asortyment i rozpoczął produkcję na eksport. W ciągu ostatnich 6 lat powiększyliśmy nasz eksport dwudziestokrotnie. W roku 1961 nastąpiło zrównoważenie naszego importu i eksportu. Dziś mamy już dużą nadwyżkę nad importem. Zmieniła się także struktura naszego eksportu. Wywozimy w 60 procentach gotowe leki. Handlujemy z 55 krajami, między innymi ze Szwajcarią i NRF, dokąd

eksportujemy m. in., co pewno zdziwi Waszych Czytelników, „Polopirynę”.

DZIAŁACZKA SPOŁECZNA

FELIKSA BRATKOWSKA z Warszawy, emerytka, odznaczona została Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski.

— Dla wielu ludzi przejście na emeryturę oznacza wycofanie się z życia na „boczny tor”. Czy pani jest również takiego zdania?

— Dopóki zdrowie pozwoli, o żadnym wycofaniu się nie może być mowy. Teraz dopiero naprawdę mam czas na pracę społeczną. Przez 40 lat, do września 1955 roku, pracowałam jako kierownik administracji domów na Pradze-Północ.

— A obecnie?

— Jestem skarbnikiem w Zarządzie Dzielnicowym Ligi Kobiet, ławniczką w sądzie, przewodniczącą Polskiego Komitetu Pomocy Społecznej w naszej dzielnicy i jeszcze pracuję na pół etatu w Warszawie, w Klubie Kobiet. To zresztą jedyne moje płatne zajęcia... Ach, byłabym zapomniała. Co roku biorę też udział w zbiórkach na odbudowę stolicy. Zostałam nawet

Tegoroczna moda wiosenna lansuje w dalszym ciągu charakterystyczną linię płaszcza „redingote” w różnych wersjach, podkreślających miękkość, wiotkość i kobiecość sylwetki. Modne są również płaszcze luźne, lekko poszerzane, miętko otulające figurę, a nawet pelerynowate.

Nasz przemysł odzieżowy przygotował nam duży wybór płaszczy wiosennych, które znajdują się już w sprzedaży. Są to płaszcze sportowe typu „Frenez”, proste, wiązane paskiem w talii oraz płaszcze o linii wąskiej, prostej, lekko wybranej z przodu, o luźnych plecach i poszerzonych u dołu. Posiadają klasyczne wykończenie dekoltów — kołnierze i klapki małe, skośne, pilsy lub szaliki z tej samej tkaniny.

za to odznaczona. We wrześniu minie 20 lat, kiedy po raz pierwszy po wojnie wyruszyliśmy ulicą Stalową na zbiórkę. Wszystkie niedziele września, do dnia dzisiejszego, poświęcam tym zbiórkom.

— Czy ma pani liczną rodzinę?

— Moja córka jest lekarzem we Wrocławiu. Kiedy otrzymałam to odznaczenie, ona w tym samym czasie otrzymała nominację na dyrektora szpitala. Już setki razy namawiała mnie, żebym z nią zamieszkała. Ale ja nie rzucę swojej pracy, ani Warszawy. Zre-

szą mam tu na miejscu dwóch synów. Jeden jest reżyserem teatralnym, drugi ekonomistą.

— Słyszałam, że w pani mieszkaniu odbywały się w czasie okupacji tajne komplety w zakresie gimnazjum i wykłady uniwersyteckie?

— Tak. Dzięki temu wielu młodych ludzi, a także moje dzieci, bez opóźnienia skończyły studia. Myślę, że na to dzisiejsze odznaczenie największej zarobiłam w tamtych czasach.

IRENA SCHULTZ
IZABELLA KRZEMINSKA





Nie stroj mi kł

twarży czerwonych „punktów” oraz innych pieczęci.

Kosmetyczka, KRYSZYNA KOZŁOWSKA mówi:

— Wysmarowane tuszem lub przylepione rzęsy, „lica” pokryte różem i usta mocno nazminkowane tłustą pomadką — wszystko to efektywnie podkreśla urodę kobiety, ale tylko wieczorem, przy świetle elektrycznym. Na wiosnę, na spotkanie z chłopcem idziemy z lekko tylko przypudrowanym nosem. Rzęsy i brwi nie ruszamy, bowiem uprzednio przyciemniła nam je henna kosmetyczka. Usta (wieczorem smarowane kremem, aby nie były spierzchnięte lub miodem, aby były ładne) jeżeli są naprawdę zbyt blade — malujemy dyskretnie cieniutką warstwą kredki. Pierwszy pocałunek składamy na bibułę, zostawiając na niej „przećinki” i „pieczęcie”. Tylko wtedy twarży ukochanego nie grozi.

„Bo nareszcie, cóż jest pocatunek? Maleńki ust zadatek, na serca rachunek. Punkt różowy, po słowie „kocham” postawiony... Sekret łuby, nie uchu, lecz ustom zwierzony...”

— pisał poeta. Ale młodzieńiec woli czasem całować przez szybę, żeby nie mieć na

Ona, przytulona do niego, myśli: — Ze butów nie wyczyściłam — to jeszcze nie nie-szczęście. Ratuja mnie te wiosenne roztopy. Ale co będzie, jeśli on zechce za chwilę całować moje włosy? Nie zdążyłam ich umyć...

Dermatolog, dr JADWIGA SZKUBEL: — Włosy łatwo się przetłuszczające powinny myć co 10 dni szamponem ziołowym i płukać je wywarem z kłącza tataraku i liścia orzechowego. Gdybyś jeszcze masowała skórę głowy watką umoczoną w płynie do włosów, np. żeńszeniowym, nie przetłuszczaliby się tak szybko. Zamiast tego niszczy włosy tapirowaniem, choć to już niemodne, farbami, choć masz ładny, naturalny kolor i wieczną ondulację, która bardzo szkodzi, zwłaszcza gdy włosy są malowane. Gdybyś odczuwała swędzenie skóry, płucz włosy wodą przegotowaną z odrobiną octu, potem nareparym z ziół.

*

Właśnie dziś wieczorem miała spotkanie i przeżywała rozterkę: czy włożyć jasną suknię, czy ciemną spódnice z efektowną bluzką? Co do szpilek, nie miała wątpliwości. Zgrabniutki, ładne obcasiki, równo na dziewięć centymetrów. Biedna! Nie знаła przestrogi:

Kto na szczudłach w życiu chodzi, nie osiąga mety, żaden sobie jest dobrodziej, kto na szczudłach w życiu chodzi. Próżno będzie chciał przewodzić, potknie się, niestety — kto na szczudłach w życiu chodzi, nie osiąga mety.



Spóźnienie było zbyt duże, zmęczenie takie, że na ławce w parku musiała sięść do góry nogami. Jakże fatalne samopoczucie!

Dlaczego? — wyjaśnia technik-ortopeda, EDWARD GRUCA:

— W pantofelkach na zbyt wysokich obcasach stopa wygięta jest nienaturalnie, zbyt duży ciężar spada na palce. Noga szybko się męczy. Bóle w stawie skokowym, w kolanach, skurcze łydek — to są objawy chwilowe, które znikają po odpoczynku. Deformacje stopy, tzw. „haluxy” (czyli wystające kostki) niestety, predko nie znikają. Są męczącymi schorzeniami, które trzeba leczyć (czasem nawet operacyjnie). Oczywiście nie tworzą się po jednym spacerze w szpileczkach, ale nadmierne i powtarzające się męczenie

nóg zwykle tak się kończy. Radzę paniom nie nosić szpilek, gdy trzeba się spieszyć, przewidziany jest daleki spacer, nogi są już zmęczone.



Ona: Ojej! Jeśli uważnie spojrzysz na moje ręce — może sofnąć „serce”!

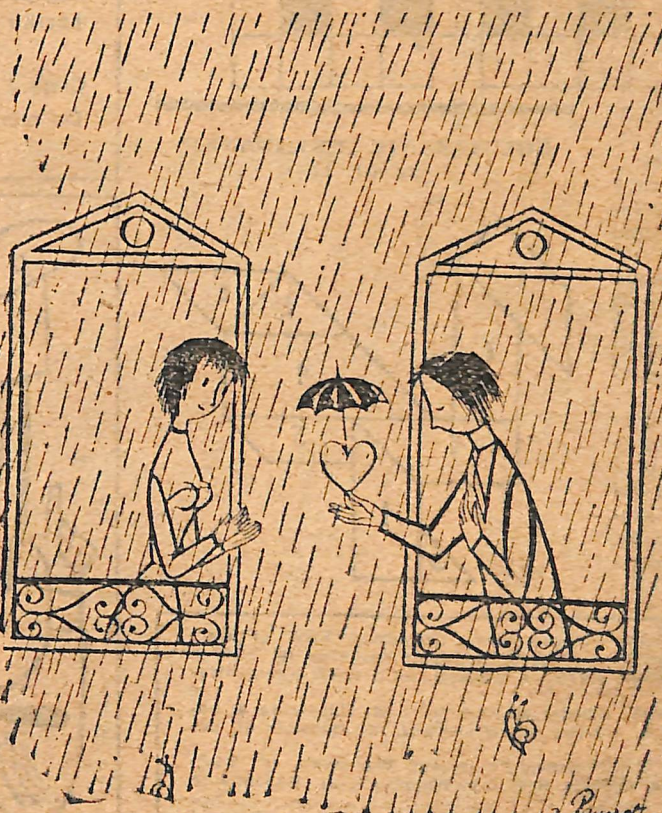
Kosmetyczka JADWIGA PRZYBYLSKA mówi:

— Nie cofnie, jest zbyt zakochany. Ale na przyszłość uważaj! Jeśli nie zaczniesz dbać o ręce, mogą się „polać” i być rzęście. Nie tylko myj ręce często ciepłą wodą z mydłem, a paznokcie namydloną szczytówką, ale i nie zapomnij dokładnie osuszać rąk po myciu, po czym wetrzyj w nie odrobinę kremu. Podczas zajęć gospodarczych nakładaj rękawiczki.

Jeśli ręce masz odmrożone — opalaj je na słońcu i stosuj przemienne kąpiele. Używaj lakieru jasnego i zmywaj go acetonem, gdy tylko zaczniesz schodzić.

Jeśli paznokcie masz kruche, łamliwe — nie lakieruj ich. Raz na 10 dni mocz palce w ogrzanej oliwie. Pamiętaj też, że kruchość paznokci może być oznaką braku witamin w organizmie.

„Zakochani” — taki jest tytuł książki sławnego rysownika francuskiego Peynet, z której zaczerpnęliśmy ilustracje i ich fragmenty do ozdoby tej strony.



Przyciąga, załamuje tylko współczująco ręce, ale małżonek — człowiek czynu, żeby choć trochę jej ulżyć... zbiera kwiatki z sukni. Mówi przy tym cichutko: „I tak masz piękną figurkę, po co ci był ten pas i staniczek o dwa numery za małe? Ledwo dyszysz, biedactwo moje. Czy ci aby nie zaszkodzi?”

Odpowiada Dr WŁADYSŁAWA KWASNIEWSKA.

— „Duszenie się” w zbyt ciasnym pasie, staniku, nie jest zbyt groźne dla osób młodych i zupełnie zdrowych. Raczej tylko przykre. Dla chorych na serce lub płuca może być jednak szkodliwe. Klatka piersiowa, zbyt ściśnięta staniczkiem, nie może odpowiednio zwiększać swej objętości podczas wdechu. Mniej powietrza dostaje się do płuc, więc zwiększa się częstość oddechu i to właśnie daje uczucie duszności (u zdrowych i u chorych, z tym, że u chorych silniejsze).

Ciasny pasek uciska brzuch, przepona wtedy unosi się do góry. Jeśli ściśnięta kobieta poczuje głód i odważy się na przełknięciu czegośkolwiek, przepona brzuszna podchodzi jeszcze wyżej, ponieważ wypycha ją wypełniony żołądek. Na przeponie leży serce, a więc i ono unosi się do góry, a takie przemieszczenie zupełnie mu nie służy i utrudnia pracę. Serce „buntuje” się, boli i nadmiernie kołata.

Poza tym ciasny pasek może:

- spowodować napad kolki żółciowej u osób cierpiących na zapalenie dróg żółciowych lub kamice żółciową,
- wywołać silny ból całej jamy brzusznej,
- utrudnić pracę jelit, wywołując niesmak w ustach, odbijanie, zgagę i tym podobne przykrości.

Co to znaczy?

„Bieg na 100 jardów wygrał zawodnik X” — mówi sprawozdawca radiowy.

— „Narzeczony Mary miał sześć stóp wzrostu” — czytamy w tłumaczonej z angielskiego powieści.

— „Do tej potrawy biorę trzy uncje ryżu” — opowiada angielska gospodyni.

Uncje, yardy, stopy — czyli miary angielskie mają dziwną właściwość

ulataniania się z pamięci. Wielokrotnie ktoś kiedyś przeliczał nam je na metry i kilogramy i równie wielokrotnie... zapominamy o tym przeliczeniu. Że tak jest potwierdziła ankietka przeprowadzona błyskawicznie wśród znajomych.

Gwoli więc przypomnienia podajemy dziś kilka podstawowych, częściej spotykanych miar angielskich.

Stopa (po angielsku foot — czytaj fuut) równa się 0,3048 m, a więc mężczyzna o wzroście sześciu stóp liczy ok. 1,83 m wzrostu.

Yard (czytaj jard) ma trzy stopy, czyli 0,9144 m. A więc bieg na 100 jardów — to dystans ok. 91,5 metra. A teraz wagi:

Uncja (po angielsku ounce — czytaj uans) w skrócie oz ma 28,3495 gramów, czyli prawie 3 dekagramy. Pamiętając tę informację nie będziemy już chyba mieli trudności z przeliczeniem wagi np. puszeki kawy.

Funt (pound — czytaj paund) oznaczamy skrótem lb; liczy dokładnie 0,45359 kg, czyli nieco ponad 45 dekagramów.

Często spotykamy się również z określeniem gallon, jako miarą objętości.

Gallon (skrót gal) na przykład benzyny zawiera 4,5459 litra. To gallon angielski. Gallon amerykański liczy mniej, bo tylko 3,7854 litra (oznacza się go US gal).

Większą jednostką objętości, stosowaną na przykład przy podawaniu produkcji zboża, jest

bushel — (skrót bu — wymawiaj buszl) — odpowiadający 36,344 litra.

Podaliśmy naturalnie tylko kilka podstawowych miar, które warto zapamiętać.

Wesołych Świąt i szczęścia

Czytelnikom „Przyjaciółki”



życzy

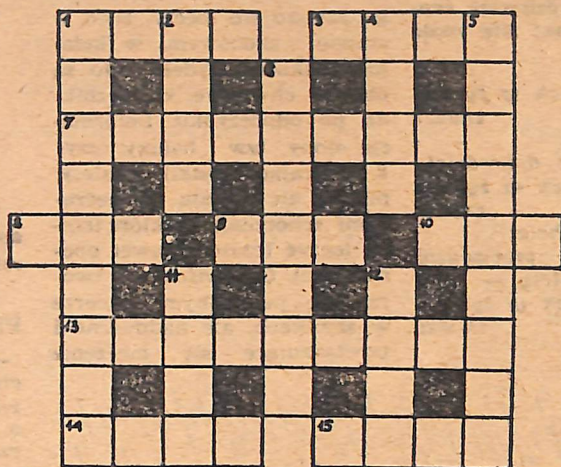
CENTRALNA KOLEKTURA
WYSYLKOWA
KRAJOWEJ LOTERII
PIENIEŻNEJ

WARSZAWA, UL. PIWNA 37

Kup sobie szczęśliwy los wysyłając należność przekazem pocztowym na adres kolektury. Cena całego losu — 100 zł, połowy — 50 zł, ćwiartki losu — 25 zł.

DZIAŁ ZAGADEK

K
R
Z
Y
Z
O
W
K
A

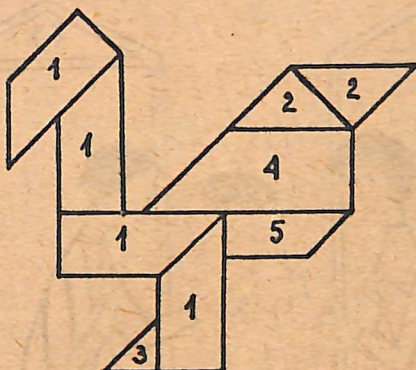


Poziomo: 1) Miasto w Austrii; 3) częściowa spiata; 7) półpiętro, niskie piętro mieszkalne; 8) nabiał; 9) rodzaj głosu; 10) monarcha wśród zwierząt; 13) rdzenny mieszkaniec; 14) statek Noego; 15) roślina wodna.

Pionowo: 1) Republika w Ameryce Środkowej; 2) środek komunikacji; 4) bóg miłości; 5) wódz Greków pod Troją; 6) znana marka noży, żyletek; 11) rodzaj dania mięsnego; 12) szlachetne żelazo.

Rozwiązania należy nadsyłać w terminie 10-dniowym od daty ukazania się numeru, pod adresem redakcji, z dopiskiem na kopercie: „Rozrywki umysłowe”. Wśród Czytelników, którzy nadesłali prawidłowe rozwiązania, rozlosowane zostaną nagrody książkowe.

ROZWIĄZANIE „UKŁADANKI” ze str. 11



Redaguje Zespół. Wydawca: Krajowe Wydawnictwo Czasopism RSW „Prasa”. Redakcja: Warszawa, ul. Wiejska 16, tel. 28-24-11. Redaktor naczelny tel. 28-05-83 z-ca redaktora naczelnego, tel. 28-03-49, sekretarz redakcji, tel. 21-41-47. Administracja — sekretariat 28-58-66.

Oddział w Łodzi, ul. Piotrkowska 96, oddział w Krakowie, ul. Skarbowa 4, oddział w Rzeszowie, pl. Zwycięstwa 3, oddział we Wrocławiu, ul. Podwale 63, oddział w Olsztynie, pl. Wolności 1.

Ogłoszenia przyjmują: Krajowe Wydawnictwo Czasopism, Warszawa, ul. Wiejska 12, tel. 28-24-11 oraz Powszechna Agencja Reklamy, Warszawa, ul. Bagatela 14 i Poznańska 38.

Wszelkich informacji w sprawie warunków prenumeraty udzielają placówki „Ruchu” i Poczty.

Rękopisów nie zamówionych redakcja nie zwraca.



PIĘKNE WŁOSY TWOJA OZDOBA!

...a piękne, puszyste i lśniące włosy zapewni Ci stosowanie nowego doskonałego szamponu do mycia włosów „SHAMPOO” firmy „URODA”

„SHAMPOO”

— działa antyseptycznie — likwiduje łupież
— nie podrażnia i nie wysusza skóry

Do wszystkich kolorów i rodzajów włosów

Cena 12. — zł.

Producent: Warszawska
Fabryka Mydła i Kosmetyków „URODA”



Czy wiecie o czym szepczą krasnoludki?

Oczywiście o tym, że fabryka Kosmetyków „Lechia” w Poznaniu rozpoczęła produkcję poszukiwanego od dawna specjalnego kremu do regeneracji włosów pod nazwą

„KAPILOFIL”

Uwaga Kierownicy Zakładów Fryzjerskich!

Krem „KAPILOFIL” jest odżywczą emulsją najwyższej jakości przeznaczoną do regeneracji włosów osłabionych wybielaniem, farbowaniem, trwałą ondulacją itp.

Krem „Kapilofil”

znajduje się w sprzedaży w opakowaniach przeznaczonych specjalnie dla użytku salonów fryzjerskich.

Cena 1 słoika — 130. — zł.

Do nabycia w hurtowniach

„ARGED”



Rolę pogotowia kulinarnego spełniają w dzisiejszych czasach

KONSERWY WARZYNNE

zachowujące wartości odżywcze surowca



Szczególnie w okresie zimowym — przy sporządzaniu posiłków — należy pamiętać o fasolce konserwowej, mrożance warzywnej, a również o papryce konserwowej w postaci sałatek, marynat itp.





OPOWIEŚĆ FILMOWA

Madame Sans Gêne

Sztuka francuskiego pisarza Victoriena Sardou (czyt. Sardu) — Madame Sans Gêne (czytaj madam san żen) cieszy się od przeszło pół wieku nie słabnącym powodzeniem na scenach świata. Adaptacji filmowych „Madame Sans Gêne” było już aż siedem. Teraz weszła na nasze ekrany ósma wersja filmowa — wspólne dzieło Francuzów i Włochów — w reżyserii Christiana Jaque'a, ze sławną Sophią Loren w roli tytułowej.

Paryska praczka z okresu rewolucji francuskiej — znana w historii pod przewiskiem „pani, która się niczym nie krępuje” — czyli madame sans gène — zyskała w Sophii Loren świetną odtwórczynię.

Wytrawny reżyser francuski starszego pokolenia — Christian Jaque — pozwala nam w zupełności zapomnieć, że pierwowzorem filmu była sztuka sceniczna. Szeroki ekran i technicolor wykorzystuje zręcznie, realizując malownicze sceny oblężenia Tuilerii (pałacu królewskiego w Paryżu) — i bitew napoleońskich z Austriakami. Sprawnie reżyseruje sceny na dworze cesarza Napoleona. Dowcipne dialogi Sardou nieraz były odczytywane jako aluzja do nowszych czasów. Bawią one i dzisiejszych widzów.

W sumie, ta komedia, choć niezbyt wysokiego lotu — na pewno będzie się podobać, bo zrobiona jest lekko, ze znajomością rzemiosła filmowego, kulturalnie. Z. K.

Była praczką paryską — potem została księżną Gdańską.



Napoleon i marszałek Lefevre (mąż Madame Sans-Gêne)



Kobiety, mężczyźni, wojsko i cywile — wszyscy biorą udział w walkach na ulicach Paryża w roku 1792.



Arystokracja napoleońska była jeszcze bardziej sztywna niż królewska — toteż wtargnięcie na ten dwór rubasznej Madame Sans-Gêne powoduje konsternację



Do akrobatyki siłowej trzeba iśćce męskiej ręki. Piękniejsza część publiczności wzdycha na widowni: — Mieć takiego męża! I brać go ze sobą po zakupy!



Niedźwiedź w Julinku i zimą stara się zarobić na kawalek cukru, choć pamięta, że właściwie pora na zimowy sen.

2000 x „tak!”

„Na skutek zgodnych oświadczeń, złożonych tu przede mną, urzędnikiem Stanu Cywilnego, stwierdzam, że związek małżeński między... został prawnie zawarty, zgodnie z obowiązującym prawem. Od tej chwili jesteście małżeństwem”...

„Tak!” To słowo padło tutaj już ponad dwa tysiące razy, więcej bowiem niż tysiąc młodych par w tym właśnie Pałacu ślubowało sobie małżeńską wierność.

Drugiego takiego Pałacu w Polsce nie ma. Dopiero w przyszłości mają powstać jego odpowiedniki w innych miastach. Nie więc dziwnego, że do bytomskiego Pałacu zjeżdżają młode pary z różnych stron kraju (Bydgoszcz, Wrocław, Opole), oczywiście po uzyskaniu wpierw specjalnego zezwolenia swego macierzystego Urzędu Stanu Cywilnego. Żenili się tu również z Polkami cudzoziemcy: dwaj Włosi, Jugosłowianie, Belg.

Ślub — jedna z najpiękniejszych chwil w życiu, chwila jedyna, niezapomniana, do której wraca się wspomnieniami, o której opowiada się swoim dzieciom i wnukom... Taka uroczystość wymaga odpowiedniej oprawy — pięknej i podniosłej.

I tak właśnie jest w Pałacu Ślubów w Bytomiu: otoczona drzewami piękna willa; portier w specjalnym uniformie, witający gości już u wejścia; obszerny hall-garderoba, z wielkimi

wzniesie toast lampką wina. Młoda małżonka z rękoma pełnymi kwiatów i upominków od najbliższych, a młody małżonek trochę „sztywny”, nadrabiający miną...

Kiedys zdarzył się niecodzienny upominek: półtorametrowy walek do ciasta, wręczony pannie młodej przez świadków. Ponoć jeszcze dotychczas nie został użyty...

★

W Pałacu Ślubów w Bytomiu 30 lipca ubiegłego roku, w środy, soboty i święta, co dwadzieścia minut pada zgodne „tak”.

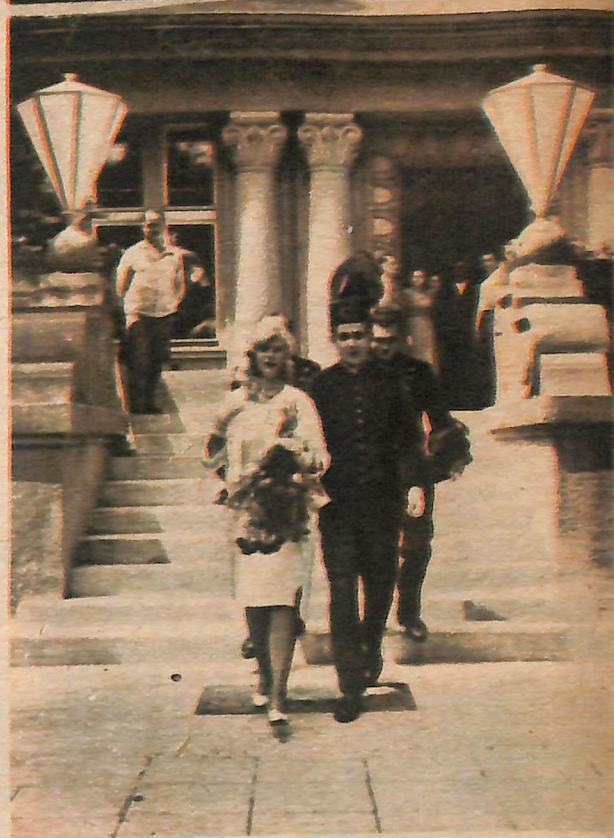
Kierownik bytomskiego Urzędu Stanu Cywilnego, pan Tadeusz Wiejata, udziela „błogosławieństwa” na nową drogę życia już bez mała lat piętnaście. Do tej pory dwadzieścia tysięcy razy oznajmił uroczyste: „Od tej chwili jesteście małżeństwem!”

Przed obliczem p. Wiejaty przewinęły się najprzeróżniejsze pary: młode i stare, śliczne i mniej śliczne, opanowane i bardzo podniecone. Pan Wiejata wspomina pewnego pana młodego i jego oblubienicę, którzy byli tak podekscytowani, że nie mogli złożyć prawidłowych podpisów na dokumencie...

Najmłodsza z „jego” par miała łącznie 35 lat, najstarsza — 144 lata!

Uroczystości ślubnej towarzyszy najczęściej tradycyjny „Marsz weselny” Mendelsohna, ale w bytomskim Pałacu można zamówić i inne melodie (nagrane na taśmę magnetofonową), np. „Ave Maria” Schuberta, „Fantazję polską” Chopina, „Marzenie miłosne” Liszta, a nawet marsz z „Aidy” Verdiego.

A. K.



Jak przystało na górnicze miasto, pierwszą parą, która zawarła małżeństwo w bytomskim Pałacu Ślubów, była para górnicza: Renata Garbas i Władysław Młynarski.



Zanim orszak ślubny wkroczy do sali ślubów — chwila na opanowanie nerwów. Piękna, nowocześnie urządzona poczekalnia sprzyja odprężeniu i uspokojeniu. Ale już za chwilę...

lustrami i puszystym dywanem; nowoczesna poczekalnia, pełna zieleni i barwnych malowideł na ścianach; przytulna kawiarenka z wesołymi zasłonami okiennymi i wygodnymi meblami (można tu również urządzić skromne przyjęcie weselne) i wreszcie miejsce najważniejsze — sala ślubów. Na tle wielkiego, kolorowego gobelinu o symbolicznej treści, za długim, oszklonym stołem — zasiada kierownik Urzędu...

...Rozlegają się dźwięki „Marsza weselnego” Mendelsohna. Młodzi mówią sakramentalne „tak”, wkładają obrączki, podpisują akt ślubu... Życzenia, pocałunki, w wielu oczach błyszcza łzy...

Oficjalna część uroczystości skończyła się. Teraz ślubny orszak udaje się do kawiarenki, by



Stanisław Olejniczak (ojciec)

...rozsuną się szerokie, oszklone drzwi...



Ta para wzbudziła nie lada sensację. Stanisław Olejniczak brał bowiem ślub w budynku zamieszkiwanym przed laty przez swego ojca, Stanisława, płomiennego patriotę śląskiego, zamordowanego przez hitlerowców, i na ulicy noszącej obecnie jego imię.

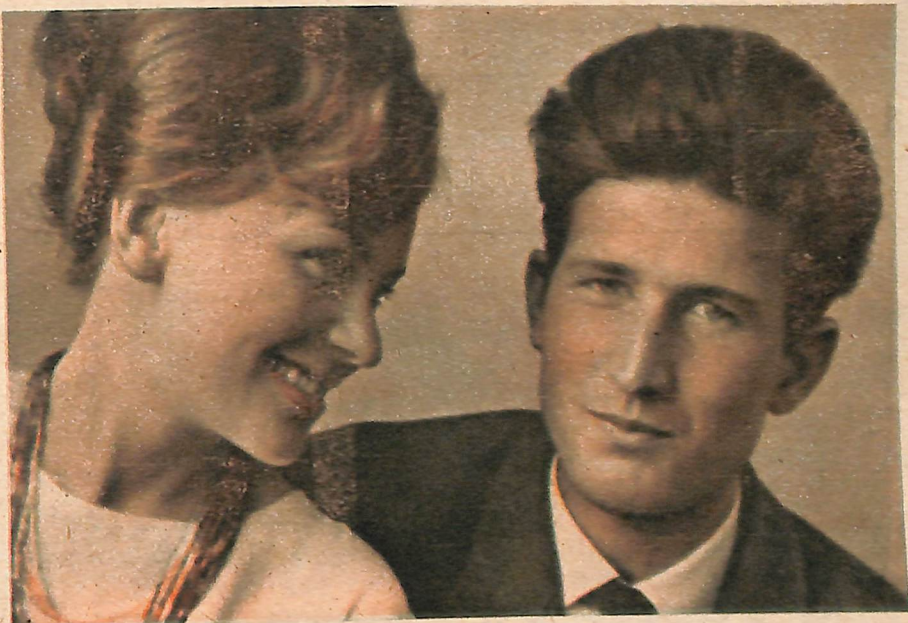


Foto: Stanisław Gadomski i Jerzy Wołosewicz